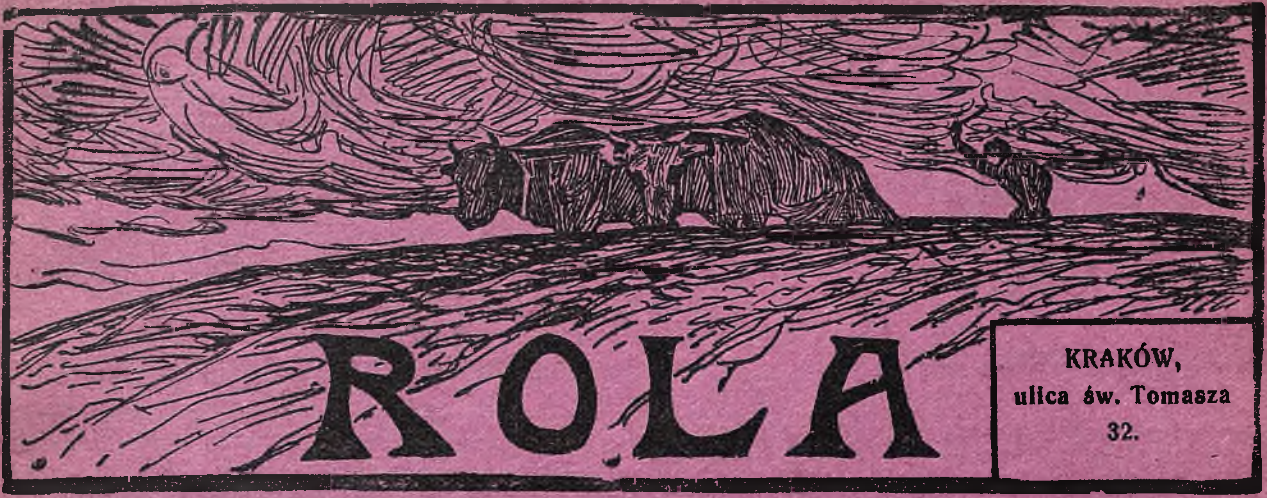
Numer 3 Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 16 Stycznia 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Przyrównał się.

Jasiek do Marysi, niosącej wiadro wody:

— Maryś! kajze ty tę wodę niesies?

— Kajzeby? dla bydła.

— To dajze i mnie napić się trochę.



Ciekawa nauka.

— Jędrek, czytajno tu ten list.

— Ja, proszę pana majstra, w dzień nie umiem czytać, bo chodziłem tylko do wieczornej szkoły.



I tak będzie skrępowany...

Matka: Powinieneś się wziąść energicznie do Jasia! Nikogo teraz niechce słuchać, a już duży chłopak z niego.

Ojciec: Daj mu pokój, niech ma choć teraz własną wolę i tak się kiedyś ożeni...



W więzieniu.

Dozorca: Jutro egzekucja. Proszę powiedzieć cobyście chcieli zjeść przed śmiercią.

Skazany: Nie jadłem tego roku ogórków, bojąc się cholery... Teraz mogę chyba sobie na nie pozwolić.

Zmądrzała.

— Bójcie się Boga! sześć złotych żądacie za tę kaczkę? przecież przed miesiącem płaciłam wam po cztery złote.

— Ano, mówią państwo, że chłop zawżdy głupi, więc ja teraz krzynkę zmądrzałam.



U proboszcza.

— Nie przeczę, że w metrykach musicie być zapisani, ale, aby znaleźć daty, muszę wiedzieć czas waszego urodzenia.

— Toli, mój jegomościcku, urodziłam się akurat podczas okopowania zimnioków.



Dziedziczny pech.

— Nieszczęśliwe dziecko! jak mogłaś mu zawierzyć?

— Ach moja mamo, obiecywał, że się ożeni...

— To i cóż z tego! Twój ojciec obiecywał mi także to samo!



Wyjaśnił mu.

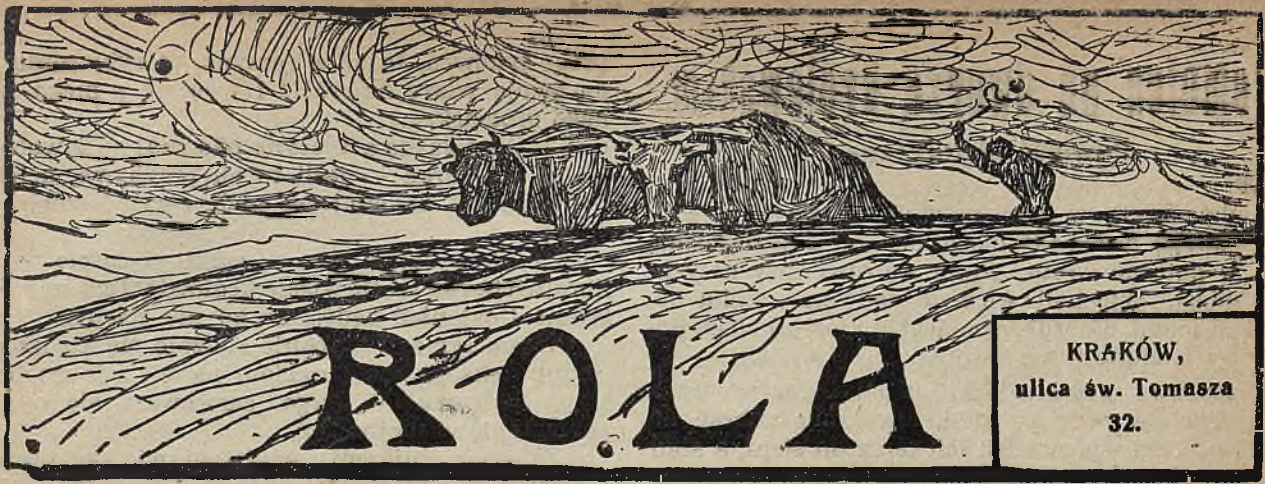
Sędzia (do złodzieja): Czem jesteś?

Złodziej (dumnie): Jakto czem? Jestem pańskim pracodawcą!

Rozszerzajcie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.

Prosimy o wyraźne i dokładne pisanie adresów, szczególnie ostatniej poczty.

Numer 3. Rok X. Kraków, dnia 16 Stycznia 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. Ogłoszenia zwykłe 20 groszy za jeden wiersz milimetrowy jednoszpaltowy (9 cm.), ogłoszenia zamiejscowe o 20 proc. droższe. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Szczęście na ziemi.

Człowiek czy to biedny, czy bogaty, stary czy młody, mężczyzna czy kobieta, słowem każdy dąży do tego, aby swoje szczęście pomnożyć, a jeżeli go nie ma, dojść w jakikolwiek sposób do niego. I jeżeli nie wszystkim, to przynajmniej większości z pośród nas zdaje się, że pierwszym i jedynym sposobem dojścia do szczęścia to jest posiadanie wielkiego majątku. Marzyciele ci powiadają, że kto ma pieniądze, ten wszystkiego za nie dostać może, a przeto musi być szczęśliwym. I dlatego też odkąd świat istnieje i dokąd istnieć będzie, ludzie nie przestaną gonić za majątkiem, tracąc nieraz w tej pogoni nietylko zdrowie, ale często i ten klejnot najcenniejszy, jakim jest życie.

A przecież każdy, kto się bliżej zastanowi, łatwo spostrzeże, że posiadanie majątku nie daje samo w sobie szczęścia. Ot weźmy na ten przykład takich monarchów i zbadajmy ich żywot, a przekonamy się, że mało było takich, którzy byliby naprawdę szczęśliwi. Czyż niejeden z carów rosyjskich, którzy drżeli dzień i noc o swe życie, nie byliby chętnie pomieniali korony cesarskiej za chwilę prawdziwego spokoju, za jedną myśl, że im nic nie grozi, że mogą spać spokojnie.

A może ci bogacze, których majątek samego procentu tyle przynosi, że niejedenby z nas musiał się dobrze namozolić, aby go policzyć, czy oni są szczęśliwi? Bardzo wątpić należy i gdyby nam się chcieli ze wszystkiego zupełnie szczerze zwierzyć, przekonalibyśmy się, że i pomiędzy nimi niema ludzi prawdziwie szczęśliwych.

A więc czyż niema szczęścia na ziemi?

O nie, jest, ale nie trzeba nam go szukać wśród możnych tego świata, lecz iść pomiędzy tych maluczkich, do tych chatek, do tych ludzi, nad którymi my się tak często litujemy. Tam szczęście prędzej znajdziemy, aniżeli w pozłocistych pałacach.

Oto w wieczór zimowy wejdźmy na salony bogacza. Wszędzie przepych i bogactwo. Stół suto zastawiony, do wieczerzy usługują lokaje, a pan, albo siedzi i ziewa, albo rozmawia z żoną, dobierając najwyszukańszych wyrazów, które właściwie nic nie mówią, a wnoszą tylko nudę i zniechęcenie. Wszystko tam jakieś udane, jakieś nieszczere, jakieś takie nieserdeczne, słowem nie dające ani kruszyny szczęścia.

A przeciwnie, ileż razy w chatce wieśniaka lub robotnika, którego żona może za ostatni grosz skromną strawę przygotowała, do której zasiedli nietylko sami rodzice, ale i dziatek kilkoro, jakżeż tam inaczej. Tam wszyscy jakoś na siebie tak ciepło spozierają, tak do siebie się serdecznie odzywają, tak tam jakoś miło, że doprawdy wierzyć się nie chce, aby tam szczęścia nie było.

Widzimy więc, że nie w bogactwie szczęście leży, ale w tem, jak my sobie to życie ułożymy. A najważniejsza, aby być szczęśliwym, trzeba poprzestawać na tem, co mamy, zadowalać się tem, cośmy własną pracą zdobyli, a nie gonić jakichś chimer nieuchwytnych, nie mieć jakichś pragnień nieziszczalnych, które się urzeczywistnić nie dadzą, a burzą nasze szczęście, które, choć w małym zakresie, ale posiąść zdołaliśmy.

Nie znaczy to, broń Boże, aby nie dążyć do powiększenia majątku, ale znaczy, aby nie widzieć jedynie szczęścia w bogactwach, bo gdy się kto w bogactwo zapatrzy, ten nigdy szczęśliwym nie będzie.

Tajemnica na dworze królewskim.

Powieść historyczna.

Jadąc ciągle w górę przybyli wreszcie do wrót starego grodu i Domosul uderzył trzykroć dzidą w potężne wrota, które się otworzyły natychmiast. Wjechali więc na podwórze, kilku nędznemi szopami otoczone, pomiędzy któremi nieco pokaźniejszy znajdował się dworek.

To też wnet przybiegło kilku parobków równych tym, których w lesie widzieli, aby konia zabrać do stajni. Domosul wprowadził ich teraz do sieni, a stąd do obszernej izby, w której straszny panował nieład. Dym był tak wielki, że aż tchu brakło, a na ławach i stołach było porozrzucanych tyle różnorodnych gratów, iż ani nie było gdzie posadzić gości. Domosul otworzył drzwi w przeciwległej znajdujące się ścianie i wprowadził ich do izby na pół w skale, na pół w twardej ziemi czysto i pięknie wykutej. U sklepienia zwieszały się korzenie drzew ponad tem podziemiem rosnących, jakby umyślnie dla ozdoby poprzyczepiane. Z tej izby wiodły drzwi do innych mieszkań i kryjówek podziemnych. W wyżłobieniach tych izb ujrzeli z niemałem zdziwieniem Jaksowie stojące nieforemne bałwanki z drzewa, z ponasadzanemi w oczach i na głowach kamykami świecącemi. Przy jednej ze ścian było ognisko, na którem palił się ogień, a dym wymykał się otworem, który ponad grzbiet góry wychodził. Wszystko tu było osobliwe i dziwne, jak gospodarz tego domu. Wprowadziwszy ich do podziemia, Domosul rzekł, spoglądając ciekawie:

— Dziwujecie się może!... a no, gdy mi się stare dworzysko spaliło, schroniłem się do tej jamy, kędy przodkowie nasi siedzieli i dobrze mi tu... ciepło i cicho...

W istocie mimo mrozu na dworze, w podziemiu czuć było ogień aż do zbytku.

Siedli Jaksowie, spoglądając na rozmaitą, starą broń, porozwieszaną na ścianach, jakiej już za czasów Bolesława nie używano.

Domosul, zrzuciwszy z siebie ciężkie okrycie, stanął przed nimi w krótkim kaftanie skórzanym. Wkrótce też dwa chłopaki i jakaś stara gospodyni poczęli znosić jadło nie wytworne, ale obfite i smacznie przyrządzone.

Gospodarz zasiadł swe miejsce i gości zaprosił do misy. Jurdze się jednak jeść odechciało, bo był bardzo stratą swego konia zmartwiony.

A był to już jakiś dzień nieszczęśliwy dla nich, bo ledwie do stołu zasiedli, rozległ się głośny hałas przed domem. Gospodarz ucha niecierpliwie nadstawił. Goście spojrzeli po sobie. Nie było się już co taić; wszelki obcy przybysz mógł być dla nich zdrajcą. Odezwał się więc Andruszka:

— Miły panie, słychać jakąś wrzawę. Mieliżbyście spodziewać się gości?

Domosul głową potrząsł, jakby nie był sam pewien.

— Wyznam — dodał żywo Andruszka — iż gdyby nas, co broń Boże, kto z królewskiego dworu zobaczył, bylibyśmy zgubieni...

Stary, zmarszczywszy brwi, popatrzał na nich ciekawie.

— Z mojej jamy zdradzie wyjść nie dam — rzekł — bądźcie spokojni! U mnie nie gości nigdy nikt prócz synowca, Jaśka z Tęczyna, któryby mnie chciał na swoją wiarę nawrócić i wyrwać z mego spokojnego grodziska...

— Ależ Jaśko z Tęczyna nas zna! — zawołał, zrywając się Jurga — jeśli to on przybywa, uciekamy.

Domosul spojrzał na nich coraz bardziej zdziwiony.

— Nie pytałem was — rzekł — coście za jedni. Zbroiliście coś rzeczywiście królowi? Tem więcej was bronić i osłaniać będę... bo go nie cierpię...

Wtem szmer i stąpanie zbliżało się ku izbie. Domosul wskazał ręką braciom na wyjście do bocznej izby. Andruszka i Jurga, zerwawszy się od stołu, pobiegli się w niej ukryć.

Zaledwo zniknęli, nagle drzwi się otworzyły i wszedł przystojny, urodziwy mężczyzna, odziany starannie i bogato. Pozdrowił wesoło Domosula, oczyma rzucając po izbie.

— Czołem stryjowi! — zawołał. — No, ale cóżto? widzę posiłek... mówiono mi, że macie gości. Nie widzę ich, cóż się z nimi stało?

— A tobie co do moich gości? — spytał Domosul spokojnie.

Jaśko głową pokiwał i rzekł:

— Przecież jam nie potwór jaki, żeby ludzie przedemną uciekali — rzekł. — Cóż to jest?

— Co ci do moich gości? — powtórnie rzekł Domosul spokojnie.

Oręż i wierzchnia odzież, którą Jaksowie zrzucili, leżały na widoku; Jaśko spojrzawszy na nie, uśmiechnął się, a potem przystąpiwszy do stołu, zawołał:

— Zaprawdę, sroga to dla mnei obraza, że się ludzie chowają, lub wy ich chowacie przede mną. Czyż lękacie się czegoś dla nich, lub dla siebie i myślicie, że Jaśko z Tęczyna, wasz synowiec was zdradzi?

— Hej! hej! — mruknął stary — kto nie chce się sparzyć, ten w ogień palca nie kładzie.

Wzdrygnął się widocznie już rozgniewany nowoprzybyły i zaczął się przechodzić po izbie, wreszcie stanął przy drzwiach, poza któremi Jaksowie byli ukryci, a przeczuciem dziwnem wiedziony, zawołał:

— Tameście waszych gości ukryli przedemną. Cóż to? chyba zbóje są i mordercy, że się obawiają oczu czystego człowieka.

W Jaksach krew się wzburzyła na te wyrazy tuż koło nich wymówione. Jurga byłby już wyskoczył z kryjówki, gdyby go Andruszka nie był powstrzymał.

Domosul nic Jaśkowi nie odpowiedział.

— Nie za kogo innego mam gości waszych — prawił dalej — jeno za ludzi bez czci i wiary, gdy się ukrywać potrzebują przed Jaśkiem z Tęczyna...

Tych wyrazów domawiał, gdy Jurga wyrwał się i stanął przed nim. Na widok człowieka, o którego śmierci był przekonanym Jaśko, bo o niej szeroko głoszono wszędzie, cofnął się oniemiały i przestraszony, jakby ujrzał widmo z grobu powstające.

Andruszka nie został za bratem; w milczeniu wyszli obaj i dumnie, nie mówiąc słowa, wpatrzyli się w przerażonego gościa.

— Jaśku z Tęczyna — odezwał się Andruszka — jeżeliśmy się ukryli przed tobą, to nie dla własnego bezpieczeństwa... Winniśmy życie ludziom litościwym, co nas ocalili bez wiedzy króla... czynimy to dla nich, iż się nie pokazujemy... Chcieliście nas widzieć, macie... ale wiedzcie, że jeżeli nam nie dacie słowa i przysięgi, że nas nie wydacie, przypłacicie życiem.

Jaśko stał, nie mogąc przyjść do siebie z wielkiego zdumienia. Patrzał i oczom swym nie wierzył,

słuchał i nie wiedział, co sądzić o tych dwóch nieboszczykach. Pojąć mu było trudno, by kto śmiał króla oszukać dla ich ocalenia. Znał Bolesława. Za Andruszką Jurga powtórzył:

— Słowo nam dacie lub...

— Nie potrzebujecie mi grozić — zawołał Jaśko — nie jestem królewskim dziesiętnikiem lub pachołkiem, ale wojakiem jak i wy... Biliśmy się nie jeden raz obok siebie, cieszę się, żeście ocaleni, a zdradzać was niech mnie Bóg broni...

Innego słowa nie potrzebowali Jaksowie i wnet się z nim ściskać poczęli i potem siedli wszyscy razem obok Domosula do misy.

Jaśkowi pilno było dowiedzieć się o cudownej tych dwóch braci przygodzie, ale gdy się dopytywać zaczął, Andruszka mu odpowiedział:

— Nie badajcie nas, nie możemy mówić nic nad to, iż nas widzicie przy życiu... tajemnica to nie nasza.

— Lecz cóż myślicie począć z sobą? — odezwał się Jaśko — uchodzicie do Węgrów? czy do Czech? do nieprzyjacielskiego kraju?

— Nie — odpowiedział Jurga — kryjemy się, oczekując szczęśliwej godziny, a do obcych iść nie myślimy, choć dzień dzisiejszy nauczyć by nas powinien, jak trudno ukryć się przed oczyma ludzkiemi.

— Jeżeli myślicie się ukrywać w tej okolicy — rzekł Jaśko — chętnie wam ofiaruję gospodę w Tęczynie.

— Za serce dobre Bóg wam zapłać —rzekł Andruszka. — Przed wami wyznać możemy, żeśmy gośćmi na Tyńcu... wyprosiliśmy się na łowy. Jurdze konia podciął zraniony dzik... i tu schroniliśmy się na chwilę... ale do klasztoru powracać nam trzeba. U was też często goście rycerstwo z Krakowa, ukryćby się niepodobna było.

— Kąt bezpiecznyby się znalazł — rzekł Jaśko — ale nie chcę na was nalegać. Tylko mi na jedno pozwolicie, abym z pod jeźdźca, którego z moich najlepszego konia wziął i dał Jurdze za zabitego.

— A myślicie — przerwał Domosul — że u mnie już konia zbytecznego niema?... Jam tu przecież pierwszy. Ubogi wprawdzie jestem. Pozabierali mi królowie wasi, com miał nie od nich, ale od przodków moich... tyle jednak zostało, że się ma pieszego na co wsadzić.

Wszczęła się tedy żywa rozmowa. Jaksowie ciekawi byli dowiedzieć się czegoś ze świata; Jaśko zaczął opowiadać obszernie, że wszyscy powinowaci Jaksów dwór królewski opuścili, a nawet wiedziano już w Krakowie o starym Tomku Jaksie, który wyjechał z domu, gdy król wstąpił do niego, będąc na łowach.

Było to dla obu braci niewymowną pociechą, iż rodzina co ich odpychała wprzódy, jednakże na ostatku do więzów krwi się poczuła i sprawę ich trzymała, choć ich już umarłymi sądziła. Lecz mimowolnie żal im było króla, który z ich przyczyny ponosił przykrości.

Na rozmowie dosyć czasu upłynęło; wstali Jaksowie, do odjazdu się sposobiąc. Wstał też Jaśko, ofiarując się dla bezpieczeństwa odprowadzić ich ku Tyńcowi. Gdy się ze starym żegnali, uparł się, aby od siebie dać konia Jurdze i wyszedł z nimi w podwórze, gdzie już koń niepozorny stał gotowy. Za uzdę go ująwszy Domosul, cugle od niego oddał w ręce Jurdze i głową pokiwawszy na znak pożegnania, powrócił do swego podziemia.

Tak tedy dwaj bracia w towarzystwie Jaśka ruszyli ze Skały znowu w las. Gdy się od niej oddalili, Jaśko z Tęczyna rzekł z westchnieniem:

— Domosul umrze jakim żył — stara swoboda i obyczaj milsze mu nadewszystko... Ani króla ani duchownego znać nie chce... Zubożał z tym uporem, dał sobie zabrać i ziemię... ale się nie ugiął.

— Nie wielu, szczęściem, takich jak on upartych — rzekł Andruszka — nikomu prócz sobie nie szkodzi...

— Ze żupanów dawnych mało który stoi tak twardo przy swojem jak on — odparł Jaśko — ale ubogiego ludu, co trzyma z nim i z takimi jak on jest dużo. U góry król, rycerstwo, władycy, duchowieństwo... u dołu lud, co żyje jak żył i patrzy tylko, by wrócił do dawnej swobody... Jeżeli Mieszko ojcowskiej nie będzie miał dłoni...

— Mieszko wojak dzielny — przerwał mu Jurga.

— Daj mu Boże szczęście — rzekł Jaśko — bo jeżeli mu sił nie stanie... to wszyscy poginąć możemy.

Wśród takich rozmów dojechali aż do Polany, z której gród Tyniecki zdala widać było. Tu rozstać się wypadło.

— Hej! jakbym wam rad był, gdybyście do mnie byli przybyli w gościnę — rzekł na odjezdnem Jaśko z Tęczyna.

Andruszka potrząsł przecząco głową.

Siedźcie więc z mnichami i poście — rzekł Jaśko — lecz gdy się wam to sprzykrzy, przybądźcie do mnie choć na łowy...

Wieczór był już późny, gdy Jaksowie do wrót klasztornych przybyli. Z widoczną radością otworzono im furtę, a młody Odon wybiegł na ich spotkanie. W klasztorze panował bowiem wielki o nich niepokój. Ludzie, którzy drwa wozili z lasu do klasztoru, znaleźli w lesie zabitego konia, opowiedzieli o tem Ojcom, a stąd powstały domysły i trwoga o Jaksów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Miłość.

Jam cię ukochał głęboko, niewinnie,
Jak tylko człowiek może kochać człeka —
Chociaż na życie nie patrzy dziecinnie,
Lecz wie, że ono, jako górska rzeka,
Zdane wieczyście na szerokość torów,
Jeżeli kiedy wystąpi z koryta,
To już nie płynie, jak deszcz meteorów —
Lecz tam, gdzie żałość jest i śnią kurhany
Stygnie — i odtąd tylko chwastami pokwita
I jest przesmutna, jak dziś ja zbłąkany...

I pochłonięty tem skrzydłem tęsknoty
Za przeminioną moich uczuć bielą,
Co pragnie, by mi z nieba anioł złoty
Raz zamigotał wyzwoleń niedzielą —
I choć raz rzucił na twarz zwiędłą, starczą
Przedziwne jasnych postanowień groty
I pierś osłonił przenajświętszą tarczą.

Bo ja dziś pragnę, jak kiedyś dziecinnie
Sprostać słonecznej twoich czynów wiośnie
I patrzeć, jako czyn trwa i jak rośnie
I jak się sieje, by owoce zbierać —
Boś mi zabłysła, jak gwiazda daleka,
Jako żyć trzeba, żeby żyć radośnie.

A że stąd płynie dla mnie nowa era,
Przeto jam ciebie ukochał niewinnie,
Jak tylko człowiek może kochać człeka.

W. Hlouszek.

Dziwy w świecie.

Dużoby było jeszcze opowiadać o rozmaitych nadzwyczajnościach w świecie. Nie chcąc jednak przedłużać i tak dość długiego opowiadania, zakończymy je dzisiaj, podając jeszcze kilka osobliwych wypadków.

Wiadomą jest rzeczą, że do niektórych osób czujemy mimowoli jakieś specjalne przywiązanie, a innych bez powodu nie lubimy. Nie odgrywa tu żadnej roli ani wygląd wewnętrzny danej osoby, ani zalety lub wady umysłowe. Sympatja nasza względnie antypatja wywiązuje się bez jakiegokolwiek powodu. Ale nietylko osoby obdarzamy szczególną miłością lub nienawiścią, ale odnosi się to często i do zwierząt, a nawet rzeczy nieżyjących. I odwrotnie, nawet rośliny odczuwają dla niektórych ludzi szczególną sympatję. Znane są wypadki, że drzewa nagle usychały, gdy zachorowali i umarli ci, którzy te drzewa sadzili i opiekowali się niemi. Nawet choroby mogą się udzielać przez sympatję, a nawet przenosić z jednej osoby na drugą, przez co pierwsza wraca do zdrowia. Bende Bendsen cierpiał bardzo na ból głowy i nikt go nie mógł wyleczyć. Pewnego razu przyjaciel jego kazał sobie ostrzydz włosy, przyczem był obecny Bendsen. Nie wiadomo, skąd przyszło mu na myśl, że byłby uleczony, gdyby mu przyjaciel pozwolił swoje obcięte włosy przyłożyć na głowę. Oczywiście przyjaciel nie miał nic przeciw temu. Bendsen więc uczynił tak, jak sobie życzył. I gdy tylko włosy przyjaciela znalazły się na jego głowie, ból natychmiast ustał, ale odtąd przyjaciel stale cierpiał na ból głowy.

Ten sam Bendsen opowiadał o dwóch dzieciach: bracie i siostrze, chorych na kurcze. Gdy siostra dostała napadu kurczów, w tej chwili i brat odczuwał takie same boleści. I przeciwnie, kiedy brat zachorował, natychmiast i siostra cierpiała takie same boleści. A wypadki te miały miejsce nietylko wówczas, gdy obydwoje rodzeństwo znajdowali się w pobliżu siebie, ale i wtenczas, gdy byli od siebie daleko.

Powiadają, że wiara uzdrawia. Jest to niewątpliwą prawdą, ale i to jest także prawda, że wiara może zabić człowieka. Na jedno i drugie twierdzenie damy przykład.

W Niwiskach koło Kolbuszowy żył przed trzydziestu laty ks. Franciszek Sikora, do którego nietylko z całej okolicy, ale i z dalszych stron przyjeżdżali chorzy, którym on niemal bez badania dawał lekarstwa, po których przeważnie powracali do zdrowia. Sława cudownego lekarza rozchodziła się szeroko, a on, lecząc bezinteresownie, zwierzał się przyjaciołom, że wszystkie choroby leczy rumiankiem. Dodawał przytem: „To nie ja, ale wiara uzdrawia. Wierzą, że po moich lekarstwach muszą być zdrowi i tak się też dzieje!"

Na dowód, że wiara może zabić człowieka, niech posłuży przykład inny. Oto w pewnem towarzystwie było trzech lekarzy. Gdy goście byli podochoceni, dwóch lekarzy umówiło się zażartować z trzeciego. W czasie rozmowy zwrócił się jeden z lekarzy do upatrzonej ofiary i powiada doń: Człowiecze, co się z tobą dzieje, że tak mizernie wyglądasz? Zapewne trapi cię jakaś choroba? Zagadnięty roześmiał się w głos, gdyż czuł się zdrów jak ryba. Gdy jednak po jakimś czasie powtórzył mu to samo drugi lekarz, zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście jest tak zdrów, jak mu się wydaje. Nie mógł już o niczem innem myśleć, a nawet przed odejściem poprosił owych dwóch kolegów, aby go na miejscu zbadali. Ci, nie przeczuwając, jakie skutki może pociągnąć za sobą ich żart, zbadali dokładnie zatrwożonego i orzekli, że jest on rzeczywiście poważnie chory.

Upłynęło dni kilkanaście i lekarze owi zapomnieli o swoim żarcie. Aż tu nagle dowiadują się, że kolega ich, z którego tak nielitościwie zażartowali, leży ciężko chory. Biegną do niego i dowiadują się, że choroba owa rozpoczęła się właśnie w ów dzień, kiedy oni sobie taki straszny żart uczynili. Nietyle może ich pomocy lekarskiej, co opowiedzeniu całej sprawy, udało się, choć z trudem, chorego od śmierci uratować.

Zresztą nie trzeba tu dalekich przykładów, gdyż każdy sam na sobie nieraz może podobne zjawiska obserwować. Jeżeli kogoś coś zaboli, a będzie przywiązywał do lekkiej nieraz niedyspozycji wielką wagę, to drobne nawet niedomaganie może przemienić się w cięższą chorobę. A z drugiej strony nawet jakiś większy ból, jeżeli się nie będziemy nim zbytnio ciackali, minie bez żadnych skutków. Nie znaczy to, aby sobie każdą chorobę lekceważyć, ale nigdy nie trzeba zbyt sobie jej przybierać do cerca, gdyż to przeszkadza szybszemu powrotowi do zdrowia.

W kilku artykulikach opowiedzieliśmy naszym Czytelnikom szereg zdarzeń, których nie spotyka się codziennie w życiu. A zdarzeń takich jest tak wielka ilość, że możnaby nimi zapisać całe tomy. Pożądanaby było rzeczą, aby nasi Czytelnicy, gdy wiedzą o jakichś takich nadzwyczajnościach, opisywali nam je, a mybyśmy, o ileby były naprawdę ciekawe, dzielili się z nimi z resztą naszych Czytelników.

Wezwanie.

Naprzód szeregi! Naprzód w imię Boże!
Naprzód młodzieńcze zastępy!
Świt nam rozpała promieniste zorze,
Ciemność rozpada się w strzępy!

Już idą świty, już nam świty gorą,
Już mroki zgubne konają...
Niech dusze nasze w jasność się ubiorą —
Bo żyć, bo w jasność iść mają!

Olbrzym się budzi — olbrzym w nas drzemiący
Drgnął — spojrzał w świty złociste,
Czując w swej głębi znicz życia płonący,
Jako te zorze ogniste!

My na cmentarzach rozpalmy ognisko,
Skąd życia popłyną rzeki! —
Patrzcie! Już wstają nad naszą kołyską
Nowe dni, lata i wieki!...

Już idą hufce wiarą uzbrojone.
Więc my w ich idźmy rzędzie!
— Niech gorą dusze ku słońcu wzniesione —
Skąd święte lecą orędzie!...

O bo któż kiedy czuł tyle jasności
W swej piersi — i ducha tyle,
Jak w wiośnie życia kwitnącej — młodości,
Gdy duch nie zbrukan jest w pyle...

Nam świeci jutrznia czynów i zapału,
Nam w duszach moc dziś rozkwita!
Więc naprzód! Szlakiem lećmy ideału,
Cel szczytny! Czynów — bo świta!...

Więc naprzód, z wiarą — naprzód w imię Boże!
Naprzód, młodzieńcze zastępy!
Świt nam rozpala promieniste zorze,
Niemoc rozpada się w strzępy!...

Wojciech Byczek.

POLOWANIE NA WILKI.



Wilk, gatunek psa dzikiego, należy do zwierząt drapieżnych. O ile przebywa w małej ilości w okolicach, bogatych w zwierzynę, nie jest on dla człowieka zbyt niebezpieczny. Ale gdy się nagromadzi w jednej okolicy większa ilość tych drapieżników, gdy ich głód przyciśnie, podchodzą pod zabudowania ludzkie, porywają dobytek, a i napotkanemu człowiekowi przejść nie dozwalają. Bywają one w niektórych stronach świata prawdziwą klęską, a i nasza ojczyzna nie jest od nich zupełnie wolna.

Jeżeli w jakiejś okolicy pojawią się wilki, mieszkańcy tych stron mają się zaraz na baczności, a myśliwi urządzają czemprędzej na nie specjalne polowanie. Polowanie takie należy wprawdzie do bardzo przyjemnych, ale nie zawsze jest ono bezpieczne, bo rozjuszone wilki rzucają się na myśliwych, którzy często padają pod kłami rozjuszonych zwierząt. Najczęściej praktykowane są polowania gromadne. Jedno z takich polowań widzimy właśnie na naszym obrazku. Oto grupka myśliwych, dobrze uzbrojona, wybrała się na polowanie na wilki saniami. Zapach żywych istot wśród pól śnieżystych zwabił ich całą gromadę. Myśliwi, uchodząc przed nimi, celnymi strzałami położyli ich pewną ilość. Ale reszta nie dała za wygraną. Wilki są już tuż, tuż przy saniach. Ale i na to byli przygotowani myśliwi. W saniach bowiem umieścili parę małych prosiaków i kiedy spostrzegli, że wilki mogą ich dopaść w ucieczce, rzucają jednego z prosiaków na pastwę napastników, wiedząc, że ci rzucą się na swą ofiarę, dając myśliwym czas na oddalenie się od nich i na posłanie im pewnej ilości strzałów.



Maciek Bzdura gada:

Niktórzy ludzie myślą, ze Psia Wólka, w której miska moja osoba, to takie wielgie miasto, jak Warsiawa, Kraków, albo Skawina. Końby się śmiał, jakby Psią Wólkę zobacył! W całej wsi siedzi ino styrech Kubików, trzech Podlasków, dwóch Warzochów, pięciu Smołów, mój gospodarz, Kaśka Myrdalonka i ja. Ale choć nas tak niewiele, to przeciez i między nami, nicem w sejmie. Dwóch Kubików należy do endeków, jeden do Wyzwoleńców, a jeden do Piasta. Natomiast wszyscy trzej Podlaski kazdy gdzieindzi. Walek jest komunistą, Bartek socjalikiem, a Wawrzek krześcijański demokrata. Jeden Warzocha idzie z księdzami z „Ludu katolickiego“, a drugi nalezy do Stronnictwa chłopskiego. Smoły znowu idą wszyscy razem murem za tem, kto więcej obiecuje. Przyjedzie do wsi Witosowiec, to hańbują na Stapińskiego, przyjedzie Stapińscyk, to oni huzia na Witosa. Za to moja gospodyni to wielga konserwatystka, bo nikomu nic nie chce dać, a wszyćkoby sama zezarła. Nie tak, jak mój gospodarz, który od rana do wiecora musi być bezpartyjny. Niechby ino popróbował mieć swoje zdanie, toby mu gosposia dali takie lanie, zeby się nie mógł przez tydzień na drugi bok przewrócić!

Kaśka Myrdalonka od urodzenia do siedemnastego roku była prawicą, potem jednak okropnie posła na lewo i wszyćkoby każdemu dała, gdyby ino kto chciał i gdyby ona co miała.

Mnie się taki podział w jednej wsi juz od dawna nie podobał i chciałem wymyślić takie jedno wielgachne stronnictwo, do któregoby nalezeli i wszyscy Kubikowie, i wszyscy Podlaskowie, i obydwa Warzechy, i pięciu Smołów, i moja gospodyni z gospodarzem, i Kaśka Myrdalonka i ja. Jedny niedzieli posłałem po wódkę, boby bez wódki nikt nie przysed, zwołałem wszyćkich do gospsiny chałpy i powiadam, cobyśmy załozyli jedno stronnictwo „Wielgiej Psiej Wólki“.

Anim nie przypuscał, ze się tak chętnie wszyscy na to zgodzą. Uciesony powiadam: „A kto chce być nasem prezesem?“

Jak na podniesienie w kościele podniosły się wszyćkie łapy do góry a więc styrech Kubików, trzech Podlasków, dwóch Warzochów, pięciu Smołów, Kaśki i moja. Ino gospodarz ręki nie podnieśli, bo se zdrzymnęli kapinkę, i gospodyni, bo powiadali potem, ze niechby tam kogo niekogo wybraliśmy, to oni i tak będą prezesować nietylko w swoji chałpie, ale i w całej Psi Wólce.

Skońcyło się tedy na wódce, a we wsi mamy tak, jak przódzi, tyle stronnictw, ile nas jest chłopa. A moze to i lepij, bo jakby nie było tyle stronnictw, toby się nie było o co zryć, a kuzdy musiałby ućciwie pracować i nie miałby casu przy daremnem pyskowaniu ani chwili se odpocąć. Bo coby powiedział Walek Podlasek na Wawrzka Podlaska. Przecie tak on jak i kuzden we wsi wie, że Wawrzek chłop robotny, pobozny i nikomu poza polityką wody nie zamąci. A tak to Walek na Wawrzka ciegiem huzia i huzia, wymyśla go od rozmaitych Korfantych i wypomina mu grzychy, o których jemu się ani śniło. A Wawrzek Walkowi odpłaca się pięknem za nadobne, a oba znowu jadą na Bartka i nazywają go cyrwonym bykiem za to, ze do socjalistów nalezy.

A podobnie dzieje się między Kubikami, podobnie między Warzochami i nie inacej między Smołami, choć ci co tydzień do innego stronnictwa nalezą.

Najlepij to się w takich wypadkach powodzi mojemu gospodarzowi, bo oni, jako bezpartyjni, za nikiem się nie ujmują i nikomu nie wymyślają. Za to gosposia, oj, oj! Jak się ino z niemi kto w politykę wda, to tak na niego wypną gębę, ze mu się ruski miesięc odniechce polityki.

Ale ze wszyćkich to najlepsą polityczką zdaje mi się Kaśka. Ona kazdemu przyzna słuśność i do kazdego się przypochlibi, ze gdyby ino miała gębę ładniejsą, toby ją mozna do serca przytulić.

Co prawda, to niepowodzenie moje co do utworzenie jednego stronnictwa „Wielkiej Psi Wólki“ okrutecnie mnie strapiło. Juzem se myślał, ze jak mi się to uda, to przy przysłych wyborach do sejmu cała Psia Wólka będzie za mną głosowała i pójdę z insemi do sejmu, jako poseł. A przeciez nie byłbym tam najgłupsiejsy!

Nie udało się w ten sposób, to moze się uda w inny. Musę jednak napisać do teraźniejsych posłów, coby zmienili ordynację wyborcą na lepsą, jak jest teraz. Bo lacego teraz ja i Kaśka mamy takie same prawa przy głosowaniu, jak nas jegomość z plebanji i prefesór ze skoły, a ni ma ich Franek Makolągwa co u Wawrzka Podlaska cielęta pasie na ugorze. Lacego ni ma prawa głosowania pędrak Magdy Kubikowny, któremu już trzeci ząb od niedzieli się kole? Jak ma być równość i sprawiedliwość, to niech będzie równość całkowita, a nie tak, jak jest teraz! Ni ma obawy, ze przy takiej równości wyśliby głupsi posłowie, jak dzisiaj! Głupich nie trza siać, sami się rodzą.

Jakby tak zmienili ordynację wyborcą, tak, jak ja chcę, to Maciek Bzdura nietylko przy przysłych wyborach posłemby został, ale moze nawet ministrem oświaty.



Widzę Cię..

I w myślach moich i w sennych marzeniach
Widzę Cię zawsze, jak wiew wiatru wiotką,
Co buja lekki po świata przestrzeniach,
Śpiewając światu melodję słodką;

Patrząc na błękit pogodnego nieba,
Widzę w błękicie jasne oczy Twoje,
I jako żebrak po kęs czarny chleba,
Ja o Twój uśmiech wznoszę prośby moje!

I gdy ten uśmiech zobaczę z oddali,
Co tęczą blasków zdobi Twoje lice,
Co smugą tęsknot na ustach się pali,
To jakbym poznał wszystkie tajemnice,
Jakie świat cały w swym ogromie mieści,
To jakbym poznał kres cudnej powieści,
Którą się zwykle bez wytchnienia czyta,
I o końcowy sens nigdy nie pyta!

Widzę cię we śnie i widzę na jawie
Uanieloną, jak senne marzenie,
Jakoby obłok, jakoby mgłę prawie,
Jak błysk rozkoszy, jakoby złudzenie...

I gdy tak wzrokiem postać Twoją chwytam,
Aby myślami z nią chwilę pogwarzyć,
Co będzie dalej, nigdy się nie pytam,
Dość mi, że mogę o Twych oczach marzyć!

Stanisław Kamyk.

Podróż naokoło świata.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XXIV,

Aresztowanie Fogga.

W godzinę potem »Henryka« pędziła co sił po morzu, unosząc z sobą naszych podróżnych. Na drugi dzień rano, przy sterze stanął człowiek dobrze nam znany.

Nie był to kapitan, lecz Filip Fogg!

Co zaś do kapitana, to ten zamknięty na klucz w swej kajucie, wydawał wściekłe okrzyki złości.

To co się stało, było bardzo proste. Filip Fogg chciał jechać do Liverpoolu, kapitan zaś nie chciał się na to zgodzić,

Fogg więc pozornie przychylił się do woli kapitana i przez trzydzieści godzin tak zręcznie manewrował banknotami, że wkrótce majtkowie i palacze, którzy byli w bardzo złych stosunkach z kapitanem statku, zostali przez niego zaagitowani.

I oto Filip Fogg dowodził statkiem.

Skutki tego zobaczymy później. Na nowem stanowisku pan Fogg był, jak zwykle spokojny, pani Anda w obawie, a Passepartout zachwycony.

W pierwszych dniach żegluga była bardzo pomyślna, później jednak niepokój zapanował na statku. Zabrakło węgla. Ta ilość, która starczyłaby, aby zawieźć do Bordeaux, do Liverpoolu była za mała. Pewnego dnia Fogg polecił swemu służącemu, aby wypuścił kapitana.



— Gdzie jesteśmy? — zakrzyknął kapitan.

Passepartout poszedł spełnić rozkaz ze strachem, wiedząc jak wściekłym był kapitan za to więzienie.

W rzeczywistości, po paru minutach uwolniony kapitan wpadł jak bomba na pokład.

— Gdzie jesteśmy? — zakrzyknął, przeplatając mowę przekleństwami.

— O siedmset siedmdziesiąt mil od Liverpoolu, — odrzekł spokojnie Fogg. — Kazałem pana uwolnić i sprowadzić do mnie, gdyż chcę się spytać, czy sprzeda mi pan swój statek?

— Nie! do djabła, nie!

— A więc zmuszony będę go spalić.

— Co? spalić mój statek?

— Tak, gdyż brak nam drzewa.

— Spalić mój statek! — krzyczał kapitan, — statek, który wart jest pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

— Oto sześćdziesiąt tysięcy dolarów, — odpowiedział Fogg, podając kapitanowi pieniądze.

Wywarło to efekt zadziwiający. Kapitan odrazu zapomniał o swym gniewie i uwięzieniu. Statek jego miał już dwadzieścia lat. Ależ to złoty interes! Z radością schował do kieszeni pieniądze, a wtedy rozpoczęło się rąbanie wszystkiego, co było na statku z drzewa, aby napalić pod kotłem. Wkrótce wszystko, co było drewnianego na »Henryce« spalono i statek jechał, z szaloną szybkością. Jeszcze daleko było do brzegów, gdy naraz kapitan, który zapomniał już o swej złości i zainteresował się podróżą pana Fogga, rzekł:

— Panie, wszystko sprzysięgło się przeciwko panu. Jesteśmy dopiero koło Kinstonn.

— Ach! — odpowiedział Fogg, — a więc to miasto jest to Kinstonn?

— Tak, panie...

— Czy możemy dotrzeć do portu?

— Za trzy godziny.

— Zaczekamy więc, — odparł Fogg, nie pokazując po sobie, że ma znowu pomysł, który przyspieszy przyjazd do celu.

Wkrótce statek stanął przy porcie i Filip Fogg, uścisnąwszy na pożegnanie rękę kapitana, opuścił go wraz z współtowarzyszami podróży.

Fix miał wielką ochotę zaaresztować teraz pana Fogga, ale się jeszcze powstrzymał.

Przybywszy do Dublinu, jeszcze się tego wzdragał.

Dnia dwudziestego pierwszego grudnia Filip Fogg wylądował w Liwerpoolu. Miał szansę wygrania zakładu.

Tymczasem podszedł do niego Fix, położył mu rękę na ramieniu i pokazując mu rozkaz urzędowy, rzekł:

— Czy pan jest Filipem Fogg?

— Tak, panie.

— W imieniu królowej, aresztuję pana!

ROZDZIAŁ XXV.

Fogg w więzieniu.

A więc Filip Fogg znalazł się w więzieniu. Zamknięto go w celi więziennej w Liwerpoolu, aby nazajutrz rano przewieźć do Londynu. W chwili aresztowania Passepartout chciał rzucić się na agenta, ale policjanci go powstrzymali,

Pani Anda, przerażona brutalnością tego faktu, nie mogła pojąć, co się stało.

Passepartout wytłumaczył jej wszystko.

Jakto? pan Fogg, ten szlachetny człowiek, który uratował jej życie, byłby złodziejem? Młoda kobieta całą duszą buntowała się przeciwko temu, serce jej omal nie pękło, a łzy rzęsiste padały z jej pięknych oczu, kiedy zobaczyła, że nic na to nieszczęście poradzić nie zdoła.

Passepartout zaś rozpaczał, że ukrył przed panem Fogg to, co wiedział od inspektora policji. Sprawa wziełaby pewnie inny obrót, a teraz, co będzie?

Biedny chłopiec na myśl, że wszystkiemu zawinił, płakał i rozpaczał tak bardzo, że o mało głowy sobie o ścianę nie rozbił.

Pani Anda wraz z Passepartout, pomimo chłodu stała na wietrze i chłodzie przed więzieniem i odejść stamtąd nie chciała.

Raz jeszcze chcieli zobaczyć oboje pana Fogga.

Co do Fogga, to był on kompletnie zrujnowany i to w chwili, gdy dobiegał do celu.

Aresztowanie gubiło go bezpowrotnie.

Powinien był być za sześć godzin w Londynie, iść do Klubu »Reform« i ukazać się kolegom.

Ktoby w tej chwili wszedł do celi, zastałby pana Fogga, siedzącego nieruchomo na ławce, z twarzą zupełnie spokojną.

Niewiadomo, czy był tak zobojętniały, czy zrozpaczony.

Może w duszy jego wrzał gniew, może powstrzymywał go tylko, aby wkońcu, gdy przyjdzie pora, wybuchnąć?

Niewiadomo. Wiemy tylko, że siedział spokojny, oczekujący... Na co? Niewiadomo.

Wszedłszy do celi, Fogg położył na stole zegarek i przyglądał się posuwającym się wskazówkom. Ani jeden wyraz nie wybiegł z jego ust, wzrok tylko skierowany był z uwagą na godzinę.

W każdym razie sytuacja przedstawiała się okropnie. Filip Fogg znany ze swej uczciwości, był zrujnowany. Czy myślał oskarżony o obronie? Czy było jakie wyjście z tej sytuacji? Czy myślał uciec? Możnaby było tak sądzić, bo w pewnej chwili Fogg zaczął biegać po pokoju. Ale drzwi były mocno zaryglowane, okno obwiedzione kratami żelaznemi. Usiadł z powrotem, wyciągnął notes z kieszeni i przyglądał się różnym notatkom z podróży.

Na ratuszu wybiła godzina pierwsza... Za dwie godziny mógłby jeszcze wyjechać expresem...

Na tę myśl zmarszczyło się czoło więźnia.

O godzinie drugiej, trzydzieści trzy minuty dał się słyszeć szmer jakiś, potem gwałtowne otwieranie drzwi.

Słychać było głos Fixa i Passepartout.

Wzrok Fogga zabłysnął na chwilę!

Otwarły się drzwi, wpadli: Fix, Passepartotut i pani Anda.

Fix nie mógł z pośpiechu oddychać. Włosy miał zwichrzone, nie mógł przemówić.

— Panie, — bełkotał, — panie, przebacz... podobieństwo nadzwyczajne... Złodziej schwytany przed trzema dniami... pan jest wolny!

Filip Fogg wolny!... Podszedł do detektywa, patrząc mu prosto w oczy, wreszcie zrobił ruch jeden, jedyny, gwałtowny; którego zapewne nie spodziewał się wykonać nigdy w życiu i uderzył Fixa dwiema wyciągniętemi pięściami.

— Doskonale uderzone! — zawołał Passepartout, nie posiadając się z radości.

Fix powalony pięścią Anglika nie wymówił ani jednego słowa. Otrzymał to, na co zasłużył. Passepartout zaś, Fogg i pani Anda, czemprędzej wybiegli z więzienia, wpadli do powozu i kazali się wieźć na stację

Tutaj dowiedzieli się, że dopiero za trzy godziny mogą jechać do Londynu.

Wkrótce potem Fogg, szepnąwszy coś uprzednio maszyniście, jechał do Londynu w towarzystwie pani Andy i swego wiernego sługi.

Trzeba było, chcąc przybyć w porę przejechać w ciągu pięciu i pół godzin przestrzeń do Londynu, rzecz bardzo możliwa, o ile droga jest wolna od przeszkód.

Ale nadarzyły się różne trudności i opóźnienia innych pociągów i dlatego, gdy Fogg zajechał na stację w Londynie, była już ósma pięćdziesiąt na wszystkich zegarach.

A więc Filip Fogg po odbyciu podróży naokoło świata przybył z pięciominutowem opóźnieniem.

ROZDZIAŁ XXVI.

Rozpacz Passepartout.

Nazajutrz mieszkańcy byliby bardzo zdziwieni, gdyby im powiedziano, że Filip Fogg powrócił. Drzwi bowiem, okna, okiennice domu jego były tak szczelnie pozamykane, jak i przedtem i cisza panowała zupełna.

W rzeczywistości Fogg dał Passepartout polecenie zakupu żywności a następnie sam wszedł do swego domu.

Tyle pokonał trudności, tyle niebezpieczeństw i wszystko to na nic! Wiedział teraz, co mu pozostawało do uczynienia.

Jeden pokój w willi Fogga przeznaczony był dla panny Andy. Młoda kobieta była w rozpaczy. Z kilku słów wypowiedzianych przez pana Fogga, zrozumiała, że ten nosi się z złowrogim zamiarem. A Passepartout, czyż dopilnuje swego pana, czy powstrzyma go od rozpaczliwego kroku?

Noc przeszła, pan Fogg położył się do łóżka, ale czy usnął? Co do pani Andy, to nie zdrzemnęła się ani na chwilę. Passepartout czuwał jak pies pod drzwiami swego pana.

Nazajutrz pan Fogg zawołał go do siebie i w słowach zwięzłych kazał mu przygotować śniadanie dla panny Andy.

Co do niego, to nie zażądał nic ponad filiżankę herbaty i grzankę. Naprózno pani Anda chciała go skłonić do przyjścia na śniadanie i na obiad. Zajęty był tak porządkowaniem swych interesów, że nie chciał przyjść ani na chwilę.

Wieczorem dopiero poprosił panią Andę o chwilkę rozmowy.

(Dokończenie nastąpi).

Przy przesyłaniu prenumeraty, o ile jest więcej jak jedna, prosimy wyszczególnić dla kogo prenumerata jest przeznaczona. Również prosimy o wyraźne pisanie adresów, szczególnie nazwisk przy prędkiem wyrobionem piśmie.

Wędrowne katedry rolnicze.

Niedawno podały dzienniki nasze, że we Włoszech rząd, utworzył tak zwane „Wędrowne katedry rolnicze“. Stało się to z inicjatywy i polecenia nadzwyczaj rozumnego i dzielnego męża stanu prezydenta Mussoliniego.

On to, ująwszy silną ręką rządy państwa, zaprowadziwszy ład i porządek, zapewniwszy państwu siłę wewnątrz i nazewnątrz, zrozumiał, że to wszystko jeszcze m a ł o. Że kraj oprócz siły militarnej, oprócz ładu, porządku i najmądrzejszych choćby ustaw, potrzebuje — c h l e b a... — bo ten daje życie i dobrobyt ludności, a tem samem podstawę szczęścia ojczyzny.

A tak rozumiejąc, pospieszył z doraźną pomocą, na jaką tylko mógł się rząd jego zdobyć, rolnikom, ażeby przez nich podnieść i rozwinąć rolnictwo, będące wytwórnią chleba.

Oto wybrał on najdzielniejszych i najpracowitszych ludzi, znających się doskonale na różnych gałęziach gospodarki rolnej, oddał im do dyspozycji a u t a r z ą d o w e i polecił roznieść i szerzyć oświatę rolniczą wśród drobnych gospodarzy w najodleglejszych zakątkach państwa. I oto rezultat tego mądrego zarządzenia, tej miłością ludu i ojczyzny przesiąkniętej pracy ludzi fachowych jest wprost nie do uwierzenia.

W pierwszym zaraz roku mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych, zbiory rolne zwiększyły się o 40 procent! Przybyło więc prawie o połowę więcej chleba — powiększył się i dostatek rolnika — wzbogacił się kraj cały. Czytając o tem w dziennikach, mimowoli ciśnie się na usta pytanie: „Dlaczego to nie u nas“?

Toż nasz kraj więcej rolniczy niśli Włochy; takie u nas łany ziemi, tyle rąk silnych do pracy marnuje się po dworcach zagranicznych, szukając zarobku... tyle dróg nieobsadzonych drzewami owocowemi, tyle nieużytków... Niewyczerpane bogactwa i zasoby chleba znajdują się w naszej polskiej ziemi — a że brak oświaty rolniczej, więc wydobyć ich dotąd nie można.

Instytucje krajowe, mające za zadanie szerzenie tej oświaty są przestarzałe, zupełnie martwe, bez ducha czasu i postępu życia — stąd nieużyteczne.

Zorganizowane po wielkich miastach — nieprzystępne wielkością urzędu i biurorkratyzmem urzędników, pełne szablonu i formalistyki — czekają przy zielonem biurku na tych drobnych rolników, których mają oświecić i z biedy ratować, a którzy się do nich właśnie z powodu tej biedy i niedostatku dostać nie mogą.

Szkoda więc na to czasu i atłasu!

To się musi i u nas zmienić — i my musimy mieć swojego Mussoliniego i swoje wędrujące katedry rolnicze, któreby poszły pomiędzy lud rolny, dotarły do każdej wsi naszej, choćby najodleglejszej, zapadłej wśród gór i lasów i tam na miejscu uczyły, pokazywały i pracowały z ludem nad wydobywaniem chleba z ziemi ojczystej w takiej ilości, iżby go wszystkim starczyło dostatnio i jeszcze zbywać mogło.

I dzięki Bogu idzie ku temu.

Oto i nasz obecny rząd — będący wykładnikiem serca i duszy, myśli i czynu — pierwszego Naczelnika Państwa — zwraca obecnie wielką uwagę na podniesienie stanu rolnictwa w kraju.

Za jego to poparciem ludzie dobrej woli, prągnący szczęścia ojczyźnie, ufundowanym na zgodzie, miłości i dobrobycie naszego ludu, zabrali się obecnie do pracy przedewszystkiem nad zorganizowaniem rolników w jeden silny i potężny związek fachowy, a następnie szerzenie wśród tego związku rozumnej, praktycznej oświaty rolniczej. W ten sposób — da Bóg — i u nas wejdą wnet w życie wędrowne katedry rolnicze.

Józef Lozenz.

Lanckorona, 1 stycznia 1927.



Poradnik gospodarczy.

W czasie zimy powinien pasiecznik poprawiać daszki i przygotować materjał na nowe ule, naciąć listewek i nazbijać nowych ramek. Przyrządy pszczelarskie doprowadzić do ładu i porządku. Zapasy woszczyzny i zmiotków z lata przetopić.

Jeżeli są w pasiece kłody lub ule snozowe, to należy przerobić je na ramkowe, gdyż zawsze trzeba iść z postępem a nie zostawać w tyle. Przy wyrobie nowych, lub przerabianiu starych uli należy pamiętać:

1) Aby uwzględniać przyrodę pszczół: musi być więc ul zastosowany do ich wrodzonych praw, zwyczajów i obyczajów do życia, potrzeb i rozwoju całej rodziny pszczelej.

2) Winien być ul zastosowany ściśle do głównych wytycznych gospodarki pasiecznej, a więc odpowiedni w czasie rójki i wystarczający zupełnie przy gospodarce miodnej.

3) Trzeba, aby ul był najwydatniejszy w przychodzie, a skąpy i oszczędny w rozchodzie tak pszczół, jak i miodu.

4) Musi być dobry na lato i odpowiedni na zimę.

5) Nadający się do ustawiania na toczku, stebniku, lub pawilonie.

6) Łatwy do transportu.

7) Lekki, nadający się łatwo do przenoszenia i przestawiania w pasiece.

8) Łatwo dostępny przy podkarmianiu pszczół o każdej porze.

9) Pojedynczy w budowie, prosty w urządzeniu, a tem samem przystępny i tani.

10) Dla pasiecznika przy pracy wygodny.

(Zalety powyższe wyjęte są z artykułu p. Józefa Lorenza p. t.: „Jaki ul najlepszy" z „Pszczelarza" nr. 11 r. 1920).

Ponieważ mimo wysilań rozumu ludzkiego idealnego ula dotychczas nie wymyślono, przeto budowę jego oprzeć należy na powyższych danych w zastosowaniu do potrzeb pszczół, pszczelarza i warunków danej okolicy.

W każdym razie barcie i ule snozowe powinny być wyrugowane z pasiek, prowadzonych postępowo.

Ankieta zebranych najlepszych pszczelarzy w Polsce ustaliła, iż w leżaku amerykańskim, normalna ramka powinna wynosić $43^1/_2$ cm. $\times$ 30 cm. W ulach słowiańskich (Ciesielskiego) $22^1/_2$ cm. $\times$ 48 cm. W ulach zaś warszawskich (Lewickiego) 24 $\times$ 43 cm. Te rodzaje uli najczęściej są używane w pasiekach postępowych w Polsce. Było więc sprawą najbardziej piekącą ramki w tych ulach ujednostajnić.

Dotychczas co pasieka, to inne systemy uli i ramek. Pasiecznik wytęża swój umysł, aby nowy jakiś system ula wynaleźć, a trafiają się nawet tacy, co swoje wynalazki w tym kierunku opatentowują.

Często młodzi pszczelarze zaczynają prace w pasiece od wynalazku nowego ula, torturując w ten sposób biedne pszczoły.

Ule powinny być nadstawkowe, t. zn. takie, które składają się z gniazda i miodni.

W zimie pszczoły odpoczywają w półśnie zimowym, zbite w kłąb (kulę), spożywając zapasy, nagromadzone przez lato i przesuwając się po plastrach w miarę spożywania zapasów. Gdy jednak słonko przygrzeje w dnie pogodne, ciepłe, pszczoły wywabione światłem i ciepłem, wylatują na krótką chwilę, aby szczyścić się z nagromadzonych nieczystości i przelecieć się po świeżem powietrzu. Zwykle następuje to w połowie zimy, lub wczesną wiosną. Nie należy więc nigdy zasuwać szczelnie uli, nawet w największe zimno, gdyż nie szkodzi ono pszczołom tyle, co brak świeżego powietrza. Należy pamiętać, iż im pień silniejszy, tem więcej potrzebuje na zimę miodu i powietrza.

Wczasie silnych mrozów niech nikt nie przenosi pszczół do pokoju, nawet nieopalonego, gdyż pień napewno zmarnieje. Tylko w wypadku spostrzeżonego głodu należy w ten sposób pszczoły ratować. Kiedyindziej nie należy pszczół w zimie niepokoić.

Jeżeli ktoś nie otulił ula słomą w jesieni, nie należy tego robić podczas mrozu. Dobry pszczelarz nawet nie chodzi za często koło uli, aby stukiem nie niepokoić pszczół.

W kłębie pszczół, w czasie najsilniejszego nawet mrozu panuje temperatura od 10^0— 12^0 R. Pszczółki ustawicznie przechodzą w ten sposób, że najedzone ze środka wychodzą na zewnątrz kuli, a głodne z wierzchu wędrują do środka, by się ogrzać i najeść.

Wszelkie tłuczenie, stłukanie i inne niepokojenie pszczół w zimie odbija się bardzo ujemnie na zimowaniu.

Jan Matysik.

Odezwa

Krajowego Związku zawodowych rolników w sprawie cukru dla wiosennego podkarmiania pszczół.

Ogólne zbiory miodu były w roku ubiegłym na obszarze całego niemal kraju dość dobre, z wyjątkiem znacznej połaci zachodniej Małopolski, szczególniej zaś okolic podgórskich. Pszczoły w tych stronach mają zbyt małe zapasy żywności na zimę — stąd też wiele pni spadnie z głodu, a te, które pozostaną, będą potrzebowały dostatniego podkarmienia cukrem.

Chcąc w tej potrzebie przyjść pszczelarzom z pomocą, krajowy Z. Z. R. zamierza udać się do Min. rolnictwa z prośbą o przydział cukru wolnego od podatku państwowego, a więc po cenach niższych. Ażeby zaś zebrać daty i materjały potrzebne do umotywowania prośby, wzywa wszystkie w tej sprawie zainteresowane Okręgowe Związki Z. R., ażeby najdalej do końca stycznia b. r. przedłożyły za pośrednictwem swych powiatowych zarządów imienne wykazy tych członków-pszczelarzy, którzy potrzebują cukru do wiosennego podkarmienia pszczół po cenach zniżonych, podając przy każdym ilość posiadanych pni pszczół. Wykazy niezupełne i nie złożone w kraj. Zw. Z. R. w oznaczonym czasie nie będą uwzględnione.

Dnia 27 grudnia 1926 odbyło się zebranie prezesów okr. Zw. Zaw. roln. w Pilźnie. Zagaił i referował prezes Związku p. hr. Łubieński, przedstawiając zebranym ich obowiązki służbowe i dyscyplinarne. W dyskusji nad sprawą ubezpieczenia żywego inwentarza, zakupu skór, manufaktury, nawozów sztucznych itp. artykułów pierwszej potrzeby, oraz w sprawach czysto organizacyjnych przemawiali: ks. Osiecki, ks. Habela, kier. szkoły p. Kler, p. Krajewski p. Próchniak, p. Ziaja i p. Świętoń. Uchwalono:

1. Zbierać fundusze na kupno aparatu do szczepienia bydła. 2. Poleca wygotowanie regulaminu ubezpieczenia żywego inwentarza prezesowi p. hr. Łubieńskiemu. 3. Wydelegować p. Kozła jako rzeczoznawcę po zakupno manufaktury w Krakowie. 4. Polecić pp. prezesom Okr. Związków załatwianie wszelkich spraw członków Związku statutem tegoż przewidzianych, w własnym okręgu. 5. Zaprowadzić i sporządzić regulamin dyżurów w kancelarji, sekretarjatu Pow. Zw. Zaw. Roln. w Pilźnie co poniedziałku każdego tygodnia. 6. Odbywać zebrania pp. prezesów Okr. Związków co drugi poniedziałek każdego miesiąca.

Sekretarz *Skaza.*

Wiadomości polityczne.

Nowy minister oświaty. Prezydent Rzeczypospolitej rozporządzeniem z dnia 9 bm. zwolnił Dra Bartla z kierownictwa oświaty, a ministrem oświaty zamianował senatora Gustawa Dobruckiego. Nowy minister jest lekarzem i dyrektorem szpitala powszechnego w Stanisławowie. Urodził się w r. 1873 w Mizuniu. Wydział lekarski ukończył w Uniwersytecie Jagiellońskim. B. lekarz-porucznik P. O. W. i kierownik starostwa w Stanisławowie, był przed wojną prezesem Związku strzeleckiego. Za czasów okupacji Stanisławowa przez Ukraińców, jako prezes Polskiego Komitetu, oskarżony o zdradę stanu i więziony, uwolniony został z braku dowodów. Wybrany do Senatu z listy P. S. L. „Piast", obecnie jednak należy do Klubu pracy, do którego należy też wicepremjer p. Bartel.

O szkołę jednolitą. W niedzielę dnia 9 bm. odbył się we Lwowie wielki zjazd delegatów lwowskiego stowarzyszenia nauczycieli szkół powszechnych. Po zagajeniu zebrania przez Dr Szukiewicza i wygłoszeniu przemówień powitalnych uchwalono na podstawie referatu prof. Lubczyńskiego rezolucję, aby za podstawę ustroju szkolnego przyjęto 7-klasową szkołę powszechną, oraz stopniowe usuwanie 3 niższych klas obecnej szkoły średniej, a zastąpienia ich trzema najwyższemi klasami szkoły powszechnej. Obrady trwały przez cały dzień.

Zmiany w dyplomacji. Według obiegających pogłosek, na stanowisko wiceministra spraw zagranicznych zostanie powołany dotychczasowy poseł polski w Finlandji p. Filipowicz. Dotychczasowy dyrektor departamentu politycznego Dr Tadeusz Jackowski, ma objąć placówkę zagraniczną, zaś Dr Wacław Grzybowski, obecny szef gabinetu pana premjera obejmie stanowisko dyrektora departamentu politycznego.

Wybory we Francji. W sobotę odbyły się we Francji wybory do Senatu. Największą ilość mandatów (44) uzyskali radykalno-społeczni, następnie republikanie i republikanie lewicowi (po 19). Jak z tego wynika, rząd Poincarégo będzie miał nadal większość w Senacie.

Chmury na niebie. Po obu stronach oceanu Spokojnego wybuchły zaburzenia polityczne, które mogą spowodować zawieruchę wojenną. W Chinach już od dłuższego czasu trwa wojna domowa. Zajadłe walki trwają w dwóch wielkich miastach, w Szanghaju i Hankau, które przechodzą z rąk do rąk. Ludność chińska przybiera zdecydowanie wrogą postawę wobec Anglików, którzy mają w obu tych miastach pod swą władzą całe odrębne dzielnice i Anglja posyła tam coraz nowe okręty wojenne i oddziały wojskowe.

Bez względu na to, pod jakiemi hasłami chwilowo walczą poszczególne oddziały i poszczególne armje chińskie, nie ulega wątpliwości, że cały ruch rewolucyjny chiński jest przedewszystkiem odruchem całej rasy i całego wielkiego narodu o starej kulturze przeciwko bezceremonjalnej gospodarce i bezwzględnemu wyzyskowi ekonomicznemu, cechującemu politykę Anglji wobec Chin od lat kilkudziesięciu.

A i po drugiej stronie oceanu Spokojnego niema spokoju. W małej republice środkowo-amerykańskiej Nikaragua, na południe od Meksyku doszło niedawno do drobnego napozór zatargu między dwoma miejscowemi obozami i kandydatami na prezydenta Nikaraguy. W zatarg ten wmieszały się się Stany Zjednoczone północnej Ameryki, wysyłając całą eskadrę okrętów na poparcie kandydata Diaza. Przeciwnika jego popiera Meksyk, wskutek czego toczy się pośrednia walka pomiędzy tymi dwoma państwami.

KRONIKA.

Nowe banknoty polskie. Dnia 15 lutego b. r. opuszczą skarbiec Banku Polskiego nowe banknoty 10, 20 i 50-złotowe. Banknoty 20 i 50-złotowe są projektem prof. Kamińskiego z warszawskiej politechniki, banknoty 10-złotowe — malarza Eichlera. Banknot 10-złotowy będzie miał rysunek Bolesława Chrobrego, 20-złotowy — Kazimierza Wielkiego, 50-złotowy — Stefana Batorego.

Organizacja rolników zawodowych. Piszą nam z powiatu wadowickiego: W dalszym ciągu w pow. wadowickim zorganizowały się gminy: Leśnica, Jastrzębia i Izdebnik, zawiązując Z. Z. R. Ludność tych gmin chętnie garnie się do pracy nad podniesieniem rolnictwa. Na członków wpisali się prawie wszyscy obywatele gmin tak mężczyźni, jak i kobiety. Po referatach p. Lorenza wybrano Zarządy z ludzi młodych i chętnych do pracy. Przykładem dla innych gmin jest gm. Izdebnik, gdzie na zaproszenie naczelnika gminy zebrała się prawie cała wieś, uchwaliła utworzenie związku, a następnie wszyscy obecni wpisali się na członków. Po przemówieniu nacz. gminy, zachęcającem do wytrwania w pracy, wybrali go wszyscy jednogłośnie prezesem. Jest nadzieja, że w najbliższym czasie i inne gminy, rozumiejąc swój własny interes, przystąpią do tej zawodowej, zupełnie apolitycznej pracy, dopomogą do rychłego utworzenia Powiatowego Zw. Z. R. w Wadowicach, a temsamem stworzą jedność i siłę, a z nią lepszą dolę dla rolnika, dzisiaj tak bardzo uciśnionego.

Z Przytkowic piszą nam: W dalszym ciągu praca organizacyjna w powiecie wadowickim postępuje naprzód. Zawiązano Okręgowy Z. Z. R. w gminie Przytkowice. Ludność tamtejsza, czując potrzebę organizacji czysto rolniczej, uchwaliła jednogłośnie takową w swej gminie założyć i wpisać się na członków. Przeprowadzono wybór Zarządu, do którego weszli ludzie chętni do pracy i społecznie wyrobieni. Na prezesa wybrano p. Bednarza, a skarbnikiem Michała Ziembę.

Z ramienia tymcz. pow. Zarządu Tadeusz Lorenz wyjaśnił zasady organizacji, a po dyskusji na temat asekuracji bydła udzielał wyczerpujących informacji. Podkreślić należy, że gmina Przytkowice może być przykładem dla innych gmin, jak należy się wspólnie popierać i łączyć celem zdobycia lepszego jutra dla uciśnionych dziś rolników. *Tadeusz Lorenz.*

Od senatora Wojciecha Wiącka otrzymaliśmy odezwę do wyborców okręgu województwa lwowskiego, w której prosi o zwracanie się doń listownie we wszelkich sprawach, dotyczących powiatów, wsi, miast, stowarzyszeń, spółdzielni i t. p., lub pojedynczych osób. Życzenia, prośby, czy zażalenia prosi układać zrozumiale, krótko, z podaniem prawdziwych faktów i świadków, oraz z podaniem dokładnego adresu, ażeby mógł odpowiedzieć, jak odnośną sprawę załatwił lub co uczynić potrzeba. Wkońcu wyraża życzenie i usilną prośbę: Dążmy wszyscy do zgody, jedności i sprawiedliwości, okażmy więcej rzetelnej i planowej pracy we wszystkich przejawach naszego życia narodowego i gospodarczego, a mniej waśni, narzekań i niezadowolenia, oprzyjmy życie nasze prywatne i polityczne na uczciwych i chrześcijańskich zasadach — a wtedy odrodzi się i zajaśnieje Rzeczpospolita Polska, oparta silnie na zadowoleniu, dobrobycie i miłości jak najszerszych warstw ludowych. Adres: Wojciech Wiącek, Machów, poczta Tarnobrzeg, województwo lwowskie, albo Warszawa — Senat.

Odezwa do rolników polskich. Jak wiadomo, pewna część naszych rodaków pozostała po wojnie pod

panowaniem czeskiem. Są oni przywiązani gorąco do swej narodowości i pragną ją utrzymać, skupiając się w różnych stowarzyszeniach polskich. Polacy tamtejsi są jednak niezamożnymi robotnikami, więc trudno im o zdobycie pieniędzy na budowę domów polskich. Wystosowali więc odezwę do swych rodaków, którą podajemy poniżej:

Odezwa do rolników polskich. Rodacy! Odezwa nasza jest krótka i zwięzła. Naszym czynem jest utrzymać polskość w Czechosłowacji, przeważnie w teraźniejszych czasach. Przeto my harcerze prosimy, ażebyście zaofiarowali na „Dom Polskich Harcerzy w Karwinie" choć po kilka groszy. Nie zubożejecie, a pracy naszej dopomożecie. Jeszcze raz was przezemnie prosi całe harcerstwo jakoteż i Sokół. Pieniądze, które raczycie nam ofiarować, poszlijcie do redakcji „Roli", z dopiskiem dla harcerzy w Karwinie w Czechosłowacji. Zgóry za ofiarę składamy „Bóg zapłać". *Leon Świder* w Karwinie.

Tragiczny wypadek kapłana. Na cmentarzu krakowskim zaszedł w ubiegłym tygodniu tragiczny wypadek. Oto kapelan tego cmentarza, ksiądz Andrzej Lenart, człowiek 46 lat liczący, nagle zatrzymał kondukt pogrzebowy i począł krzyczeć, że jest prorokiem i że wskrzesi wszystkich zmarłych leżących na cmentarzu. Jasnem było, że nieszczęśliwy kapłan dostał pomieszania zmysłów. Ujęto go i odwieziono do szpitala św. Łazarza. Zaznaczyć należy, że ksiądz Lenart już przedtem był leczony jako umysłowo chory, a obowiązki kapelana objął dopiero 4 listopada ubiegłego roku i w tym krótkim czasie rozwinął bardzo żywą działalność nad upiększeniem kaplicy cmentarnej, łożąc na nią wiele ze swych skromnych dochodów.

Akademja złodziejska. Szereg włamań, dokonanych w ostatnich czasach w Warszawie zwrócił na siebie baczną uwagę władz policyjnych przez swą technikę, odbiegającą daleko od znanego powszechnie szablonu. Przeprowadzone przez policję dochodzenia wykryły, że wszystkie te włamania były ćwiczeniami praktycznemi uczniów specjalnej „akademji złodziejskiej", którą prowadził w Warszawie niejaki Stefan Nader, znany w kołach złodziejskich pod przydomkiem „Warjat". Stwierdzono, że uczniowie tej „akademji" rekrutowali się z samych młodych chłopców, a wykłady odbywały się w rozmaitych wciąż zmienianych lokalach złodziejskich, co utrudniało wpadnięcie na trop tych adeptów sztuki złodziejskiej. Nader był bardzo surowym nauczycielem, uczniów swoich bił, często przywiązywał ich za nogi do krzesła, a za ręce do umieszczonego w powale haka, wbijał im nieraz szpilki w pięty, a nawet groził niektórym śmiercią. Aresztowano go wraz z czterema uczniami w chwili wykładu. Jak to trudno imać się ludziom uczciwej pracy; wolą gnić w kryminale, aniżeli pracować, chociażby nieraz w trudnych warunkach.

Zemsta kochanki. W samą północ z ostatniego grudnia na 1 stycznia br. rozgorzała łuna pożaru w Bielawach, gm. Cząstków. Paliła się zagroda bogatego gospodarza, Feliksa Krężlewicza. Gospodarz w bieliźnie tylko i boso wybiegł na obejście wołając:

— Ratunku, podpalili mnie!

Istotnie. Ogień podłożyła 30-letnia Helena Kwaśniewska, która w ten sposób zemściła się na Krężlewiczu. Porzuciwszy męża, Kwaśniewska przybyła do wsi Bielawy gm. Cząstków przed 3 laty i zatrzymała się u wdowca Krężlewicza.

Wdowiec rozkochał się w Kwaśniewskiej. Przed kilku miesiącami powiła ona dziecko. Z tą chwilą Krężlewicz wzgardził miłością kochanki. Po paru tygodniach wyrzucił ją przemocą ze swego domu. Odchodząc, Kwaśniewska zapowiedziała mu zemstę.

Istotnie przed samą północą Sylwestrową zastukała do okien Krężlewicza. Gospodarz nie wpuścił jej. Wówczas Kwaśniewska podpaliła dom. Ogień objął w jednej chwili całe obejście Krężlewicza, który ledwie zdołał ujść z życiem Kwaśniewską aresztowano.

Straszny samosąd. Że człowiek staje się czasem gorszym od dzikiego zwierzęcia, świadczy następujący wypadek: Oto we wsi Moryn powiatu częstochowskiego na szkodę miejscowych włościan zdarzały się od czasu do czasu kradzieże. Włościanie schwytali osobnika, podejrzanego o popełnianie tych kradzieży, niejakiego Wacława Świętnika. Dla ukarania złodzieja obmyślono okrutną karę, mianowicie spalono go żywcem na stosie.



Zanim nadeszła pomoc, Świętnik zginął w płomieniach. Policja aresztowała 28 włościan. Jakkolwiek kradzież jest zbrodnią potępienia godną, to przecież poszkodowani nie powinni byli sobie sami wymierzać sprawiedliwości, gdyż od tego są sądy, aby winnych karały.

Wyrzucona z II piętra przez okno. W Warszawie zaszedł onegdaj tragiczny wypadek. Oto po dłuższej zabawie w mieszkaniu Jana Kućmy, gdy się goście rozeszli, a w mieszkaniu pozostali tylko Kućma z małżonką swą Zofją i jej siostrą, doszło do sprzeczki pomiędzy małżeństwem. Małżeństwo przeszło do sąsiedniego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Co się potem działo — siostra Kućmowej nie wie, słychać było jednak coraz głośniejszą kłótnię. W pewnym momencie, gdy siostra Kućmowej dostała się wreszcie do sąsiedniego pokoju, zobaczyła, iż Kućmowa zwiesza się z balkonu, trzymając się kurczowo jego poręczy.

Usiłowała wówczas zresztą przy pomocy Kućmy wciągnąć siostrę z powrotem na balkon, jednakże bezskutecznie. Nieszczęsna runęła z wysokości 2 piętra na kamienie podwórza, raniąc się i tłukąc bardzo ciężko. Ranną nieprzytomną przewieziono w stanie ciężkim do szpitala Przemienienia Pańskiego, gdzie zmarła.

Ślub miljonera z biedną dziewczyną. Czeskie dzienniki rozpisują się szeroko o wypadku, jaki obecnie zdarzył się w Czechach. Miljoner tamtejszy nazwiskiem Petschka przyjął do swego biura sekretarkę, żydóweczkę, nazwiskiem Urbachówna. Urbachówna jest to dziewczyna wesoła, inteligentna, ale niezbyt ładna, a przytem bardzo biedna. Otóż panienkę tę poznał 28-letni syn miljonera, Walter Petschka. Dziewczyna spodobała się mu ogromnie, to też, jako człowiek przywykły do robienia szybko interesów, zapytał się ją onegdaj: — „Czy chcesz być moją żoną?", na co oczywiście otrzymał

również szybką odpowiedź: — „Tak!“ I w ten sposób Urbachówna z biednej sekretarki stała się nagle narzeczoną miljonera, a niedługo będzie jego żoną, gdyż ślub został naznaczony na najbliższe dni.

Epidemja grypy w Europie. Nietylko w Europie, ale i poza jej granicami, szerzy się w niebywały sposób epidemja grypy zwana często hiszpanką, albo influenzą. W Hiszpanji, Francji, Szwajcarji, Anglji i innych krajach notują bardzo wielką ilość jej wypadków. Najostrzej występuje w Hiszpanji i Szwajcarji. W mieście Barcelonie zachorowało dotychczas przeszło 100 tysięcy ludzi. W Szwajcarji w miastach większych notują po kilkadziesiąt tysięcy wypadków tej choroby. W niektórych okolicach pozamykano szkoły. We Francji grypa szerzy się szczególniej na prowincji. Śmiertelność jej jest znaczna. Naprzykład w szpitalach w Montpellier umiera dziennie po 20 osób. I u nas grypa zaczyna się pojawiać coraz częściej, której śmiertelną ofiarą padają przeważnie osoby starsze.

Tragiczne wesele. Po drodze wiodącej z Clermont Ferrand do Paryża, posuwał się orszak weselny, złożony z 35 osób. Panna młoda wraz z drużkami jechała na wozie, a obok postępowali mężczyźni wesołą gromadą. Śpiewano, dowcipkowano i przepijano gęsto winem, które na wszelki wypadek wieziono na wozie panny młodej. Tą samą drogą pędził bez świateł automobil notarjusza z sąsiedniego miasteczka. Pędzące auto wpadło w sam środek korowodu. Skutki katastrofy były straszne. Panna młoda, dwie drużki i rodzice pana młodego ponieśli natychmiastową śmierć, natomiast mąż i 9 uczestników wesela odnieśli rany i odwieziono ich w bardzo groźnym stanie do szpitala.

Śmierć matki z dziećmi w płomieniach. Znany przemysłowiec paryski Roger postanowił spędzić wilję Bożego Narodzenia w swojej willi „La Filaise“ w Villerville. W tym celu pojechał tam w dzień wilji razem z żoną i trojgiem małych dzieci. Po wilji cała rodzina udała się na spoczynek. W chwili, gdy pani Roger wchodziła do sypialni, zauważyła jakąś podejrzaną woń, ale nie zwracała na nią większej uwagi. Około północy pan Roger obudził się nagle. Ostry dym zapełniał wszystkie pokoje. Wyskoczył więc z łóżka i obudził żonę i dzieci. Ale już płomienie objęły schody. Postanowili więc ratować się ucieczką przez okno. Wtedy p. Roger wpadł na fatalny pomysł szukania drabiny. Wyskoczył przez okno i pobiegł szukać jej w oficynach, a nie znalazłszy tam, udał się po nią do sąsiadów.

Kiedy wrócił, willa stała już w płomieniach. O ratunku nie było mowy. Zwłok spalonej matki i dzieci nie można było odnaleźć. Wszyscy zginęli w płomieniach. Rozpacz ojca nie miała granic, a całe miasto pogrążyło się w żałobie z powodu tragicznej nocy wigilijnej. Pożar powstał wskutek wady kaloryferów, które naprawiono przed samem przybyciem państwa Rogerów.

Napad piratów na okręt. Angielski parowiec „Sunning“ został napadnięty w drodze do Szanghaju przez rozbójników morskich czyli tak zwanych piratów. Oficerowie opowiadają o tej strasznej przygodzie następujące szczegóły: W drodze, gdy zatrzymano się w Amoy o 250 mil od Hongkongu, około 40 piratów wkradło się na pokład. Po południu piraci zaskoczyli oficerów i opanowawszy pomost i maszyny, kazali płynąć w kierunku zatoki Bias, znanej kryjówki zbójeckiej o 50 mil na północ od Hongkong. W tym samym czasie zaczęli przetrząsać okręt, szukając łupu, którego wkrótce nagromadzili w wartości 1000 f. szt. Jednego Chińczyka, który stawiał opór, zastrzelono, a czterech pomocników, którzy nie chcieli kupca zdradzić, wrzucono do morza. Na pokładzie i przy maszynach pozostawili bandyci kilku oficerów i ludzi z załogi, a resztę załogi i 80 pasażerów Chińczyków z trzeciej klasy, zamknięto w salonie. Przez ośm godzin piraci strzegli okrętu, śledząc każdy ruch kapitana Pringle i drugiego oficera na pomoście, a także głównego maszynistę na dole przy maszynach. Nagle o północy położenie się zmieniło. Kilku ze straży, wyszedłszy na pomost, kazało sobie objaśnić kierunek jazdy. I wtedy, podczas gdy oficer dawał odpowiedzi, kapitan nagle uderzeniem ołowianki ogłuszył strażników i zdołał zabrać im dwa pistolety ze 150 nabojami. Następnie kapitan z oficerem szybko przez okienko górne uwolnili kolegów z salonu. W tej chwili wszczął się alarm, piraci starali się odebrać pomost. Zaczęła się walka po ciemku. Oficerowie, korzystając z wąskich korytarzy, potrafili stawić im czoło. Wtedy piraci, sprowadziwszy maszynistę, zaczęli znów atakować, zasłaniając się jego osobą. Oficerowie, nie wiedząc o tem z ciemności, strzelali dalej i ranili maszynistę poważnie, lecz ranny zdołał przejść do nich na pomost. Przez trzy godziny piraci próbowali dostać się na pomost, ale napróżno. Wkońcu podłożyli ogień. Gdy ogień zaczął oficerów ogarniać, ofiarowali im rozejm, który jednak został odrzucony. Wtedy piraci, zabierając zakładników, spuścili łodzie i wynieśli się z okrętu. Tymczasem ogień rozszerzał się coraz groźniej. Oficerowie i załoga walczyli z pożarem do rana. Wkońcu zjawiła się pomoc. Wtedy stwierdzono, że zabito 10 piratów przy pomoście, 13, którzy kryli się na okręcie zaaresztowano, a 9 złapano na jednej łodzi, prócz tego musiało kilku spalić się w ogniu. Wojenne okręty, które wyruszyły na morze szukać niedobitków, wróciły bez wyniku do portu.

Trzęsienie ziemi w Kalifornji. Położone w południowo-wschodniej Kalifornji nad granicą meksykańską miasta amerykańskie Calexico i Meksicali zostały nawiedzone strasznem trzęsieniem ziemi. Oba te miasta zostały niemal doszczętnie zniszczone. Wstrząsy następowały w odstępach dwuminutowych. Domy na ulicach zostały zrównane z ziemią. Część miasta, w której znajdowały się magazyny kupców oraz hotele została doszczętnie zmieciona. Szkody obliczają na kilka miljonów dolarów. W wielu hotelach i domach powstała niedoopisania panika. Ludzie wybiegali na ulice, gdzie ginęli rażeni odłamkami walących się domów. Wskutek przerwania prądu elektrycznego nagle zapanowały ciemności. Woda z pękniętych wodociągów zalewała domy i ulice. W wielu domach powstał pożar. Również na meksykańskiem terytorjum Kalifornji odczuto w wielu okolicznych miastach trzęsienie ziemi. Rząd meksykański ogłosił nad tem terytorjum stan oblężenia. Donoszą również o podmorskich trzęsieniach ziemi wzdłuż wybrzeża oceanu Spokojnego. Ogromnie ucierpiało także miasto Emperial Walley, gdzie zapadło się wiele potężnych gmachów, hotele, domy rządowe i inne. Równocześnie z katastrofą w Kalifornji odczuto potężne wstrząsy skorupy ziemskiej w stanie Arisona. Wybuchły tam wielkie pożary, które rozszerzają się z katastrofalną szybkością.

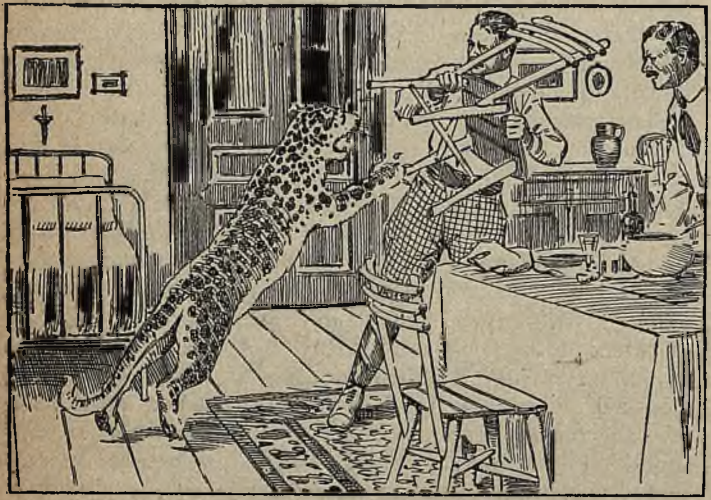
Na co umierają Amerykanie? Amerykańskie towarzystwa ubezpieczeń na życie ogłosiły dane statystyczne, tyczące się zgonów w ciągu roku ,inansowego, kończącego się 30 czerwca, osób ubezpieczonych na życie w Stanach Zjednoczonych. Dane te wykazują przedewszystkiem, że w ciągu roku ubiegłego zmarło o 53.000 osób więcej niż w 1925 roku. Dalej zaś wykazują, że na każde sto tysięcy ubezpieczonych na życie, 127 zmarło na choroby serca, 88 na zakaźne choroby płucne, 81 na raka, 56 na apopleksję, 25 na grypę, a 16 wskutek przypadków samochodowych, Poza tem 12

osób na każde sto tysięcy popełniło samobójstwo, a 5 padło ofiarami morderców. A zatem choroby serca, choroby płuc i raka porywają najwięcej ofiar w Ameryce.

Setna rocznica roweru. W ubiegłym roku minęło sto lat od pierwszej jazdy na rowerze. 8 października 1826 r. przybył na Champs de Mars niejaki Villa, bz popisać się przed bardzo licznie zebraną publicznością dwukołowym wehikułem, puszczanym w ruch przy pomocy pedałów nożnych, i na którym zobowiązał się on objechać całą przestrzeń naokoło 4-krotnie w ciągu czterdziestu minut. Próba nie udała się, gdyż dokonał on tego tylko 5 razy. Do idei tej powrócono w latach siedmdziesiątych w postaci t. zw. bicyklu o jednem wielkiem i jednem małem kole.

Walka z lampartem. W pobliżu osady Nyjeri w angielskiej Afryce wschodniej, siedział pewien młody kolonista z drugim, który go odwiedził, przy stole i opowiadał mu, jak wiele znajduje się w okolicy lampartów i że przed kilku dniami w jego ogrodzeniu pokazał się jeden z tych strasznych dzikich kotów.

Zaledwie powiedział te słowa, drzwi się otworzyły, do wnętrza izby jednym susem wskoczył ogromny lampart i stanął na środku izby. Obaj koloniści zerwali się z miejsc. Położenie ich było straszne, gdyż nie mieli żadnej broni pod ręką, a ruszyć się z miejsca żaden z nich nie śmiał. Stali zatem przestraszeni, ale... przestraszony był także i dziki zwierz, który widocznie tylko przypadkiem wpadł do ludzkiej siedziby. Stał bowiem przez krótką chwilę na tylnych łapach osłupiały, a potem rzucił się naoślep wprzód. Młodszy z kolonistów po chwili chwycił za krzesło i zamierzył się na lamparta. Ten jednak jednym ruchem łapy odtrącił stołek, przewrócił człowieka na ziemię i zaczął go szarpać pazurami.



Rozpoczęła się okropna walka o śmierć i życie. Dzielny kolonista nie tracił ducha, nogą od stołka odpychał i bił rozwścieklone zwierzę, które pazurami szarpało mu skórę, aż krew lała się strumieniami. Wreszcie stracił przytomność i omdlał. Nie zginął jednak, gdyż w rok potem tak opowiadał o swem przebudzeniu:

„Po krótkiej chwili przyszedłem do przytomności, otarłem oczy, które krew zalewała i zobaczyłem, jak mój gość siedział przerażony na łóżku, a dziki zwierz przykucnięty na ziemi gotował się do skoczenia mi na piersi. Gość w tejże chwili chwycił za kołdrę i rzucił ją sobie na głowę, aby mieć w niej przynajmniej jaką taką ochronę przed pazurami lamparta. Ja przyszedłem tymczasem nieco do sił, zdołałem poczołgać się dwa kroki i otwarłem drzwi na dole. W tej chwili wpadł ze strasznem szczekaniem wielki pies podwórzowy i rzucił się na lamparta, który widocznie nie miał ochoty do walki z dużem zwierzęciem, gdyż jednym skokiem rzucił się w otwarte drzwi i zniknął“.

Tak to niemal cudownym sposobem ocaleli obaj Anglicy, a ocaleli głównie dlatego, że nie stracili głowy i bronili się przed niebezpieczeństwem, chociaż wydawałoby się, że obrony już niema.

Niezwykły człowiek. W tych dniach zmarł profesor Karol Arnell w Tacoma, Wash., słynny na całą Amerykę z tego, że znał i władał 53 językami. W nekrologach jego dzienniki piszą, że Arnell przez 12 lat był sekretarzem amerykańskiej ambasady w Tokio. Był on drugim białym mężczyzną, który ukończył kurs języków wschodnich na cesarskim uniwersytecie w Tokio. Potem zajmował stanowisko profesora na dwóch uniwersytetach japońskich. Znał biegle języki wschodnie, nawet język Eskimosów i języki szczepów afrykańskich.

Wartość człowieka. Przeciętna wartość człowieka nie przekracza skromnej sumy... 9 złotych! W ten sposób upokorzył dumę ludzką profesor amerykański Perrl. Ocenę swoją oparł ten uczony taksator na następujących przesłankach. Organizm normalnego mężczyzny, ważącego 75 kg. zawiera: 1) Tłuszczu w ilości dostatecznej dla sporządzenia trzech świec. 2) Wody, wystarczającej do wyprania dwóch prześcieradeł, 3) Żelaza na tyle, by sfabrykować gwóźdź wielkości małego palca, 4) Wapna, którem można wybielić zwykły kurnik, 5) Siarki na wytępienie pcheł, zamieszkujących dużego nawet psa. 6) Cukru, podawanego do rannej herbaty. Prof. Peerl, dokonawszy tych wyliczeń, udał się do najbliższego składu, by poinformować się o cenach na powyższe produkty. Rachunek przedstawiał się bardzo skromnie — 98 centów amerykańskich czyli 9 złotych polskich.

Dusza w uchu. Znakomity fizjognomista Emil Peters w swojem ostatniem dziele zastanawia się nad stosunkiem ucha człowieka do jego charakteru. Według niego silnie zbudowane ucho o dobrze rozwiniętej muszli mają ludzie energiczni, praktyczni. Gruba i mięsista miękka część ucha świadczy o skłonnościach do rozkoszy zmysłowych. Ucho wielkie, niezgrabne cechuje ludzi o wrodzonym braku taktu. Ucho wąskie, nieco wydłużone wskazuje na umysł ruchliwy i niespokojny. Nieco szersze, pośrodku ładnie uformowane ucho świadczy o równym, spokojnym charakterze. Delikatny rąbek ucha mówi o subtelnej duszy. Mocno zaokrągloną muszlą spotyka się u ludzi niezależnych, a jeżeli brzeg jej jest zgrubiały, znać, że stanowczość przerodziła się w upór. Drobne, ściśle do czaszki przylegające ucho mają ludzie wstydliwi, bojaźliwi.

Dramat w łódce rybackiej. Rybacy w Kalifornji znaleźli na morzu łódkę ze starym rybakiem, napół żywym, obok którego leżał trup bez kilku części ciała. Nieszczęśliwy starzec, przyszedłszy do siebie, wyznał, że zmuszony głodem żywił się przez kilka dni trupem swego towarzysza, zmarłego na morzu z głodu.

Żywy nieboszczyk. W miejscowości Rajkowy na Pomorzu po dłuższej chorobie dziecko nie przebudziło się, wobec czego matka, skonstatowawszy śmierć, zajęła się przygotowaniami do pogrzebu. Gdy w drugim dniu powróciła do domu z urzędu parafjalnego, gdzie załatwiała sprawy związane z pogrzebem, ujrzała dziecko uśmiechnięte, siedzące na stole. W międzyczasie obudziło się dziecko po dwudniowym śnie letargicznym.

RZECZY CIEKAWE.

Święto Trzech Króli w dawnej Polsce.

Bardzo mało wiedzą ludzie o dawnych zwyczajach w dniu Trzech Króli w Polsce. A jednak nasi przodkowie szczególną przywiązywali wagę do tego święta. W tym dniu np. król polski Jan Kazimierz miał zwyczaj ofiarowywać wszystkie gatunki wybitych na ten rok monet. Reszta zaś obywateli w miarę swej zamożności nabywać zaś i poświęcać czerwone złote z wizerunkiem Matki Boskiej i przechowywać je do samej śmierci. Kto nie miał złota, poświęcał srebrne pieniądze, lub węgierskie trojaki i rozdawał je swoim dzieciom. Kogo bolało gardło, temu przykładano do szyi święcone złoto. Kadzidło i myrrę palono po domach, oborach dla odwrócenia chorób. W dniu tym roznoszono tyle sztuk ciasta, ile było osób. W jednej z tych sztuk był ukryty migdał. Kto takie ciasto otrzymał, zostawał królem całej rodziny na rok bieżący i wybierał sobie królowę, darząc ją kosztownym wieńcem kwiatowym. Święto Trzech Króli kończyło okres Bożego Narodzenia. Kto przyjechał na wigilję, musiał pozostać w gościnie do 6 stycznia. Wybór króla migdałowego był rzeczą nader ważną tembardziej, że wszelkie ciasta w dawnej Polsce uchodziły za honor i chlubę w całej Polsce. Przy tym zwyczaju zręczna gospodyni starała się w ten sposób kierować tradycyjnym wyborem, by ciasto z migdałem mogło się dostać osobie najodpowiedniejszej: to jest najwaleczniejszemu, lub najsędziwszemu, lub też ukochanemu mężowi, albo najszanowniejszemu z przyjaciół. Wybrany król migdałowy obowiązany był urządzić w krótkim czasie specjalną ucztę, na której rozdawał gościom upominki. Nie dość na tem; ciążył na nim obowiązek w razie potrzeby dopomagania członkom owej rodziny.

Skład armji polskiej.

Według ustaleń rządowych uwydatnionych w preliminarzu budżetowym na rok przyszły, armja polska składa się z 17.905 oficerów, z czego w urzędach centralnych 1.039, w przedstawicielstwach zagranicznych 18, w szeregach armji zaś 16.848. Według szarż, armja polska liczy 144 generałów, z czego 1 marszałek, 9 generałów broni, 46 generałów dywizji, 88 generałów brygady, 681 pułkowników, 2.538 majorów, 6.260 kapitanów, 6.124 poruczników, 1.047 podporuczników. Dalej armja polska liczy 37.000 podoficerów zawodowych i 208.500 szeregowych niezawodowych, z czego 162.960 zwykłych szeregowych i 29.360 starszych szeregowych. Ponadto w instytucjach wojskowych czynnych jest 5.553 funkcjonarjuszy cywilnych. Z kolei siła zbrojna morska Rzeczypospolitej liczy 286 oficerów, z czego jeden wiceadmirał, dalej 634 podoficerów zawodowych i 2.062 szeregowych niezawodowych. Razem więc siła zbrojna Rzeczypospolitej we wszystkich działach służby i pracy wojskowej obejmuje 272 tys. 55 osób.

Zagłada rodu męskiego.

Pewien statystyk niemiecki stwierdza, że liczba mężczyzn na świecie w szybkiem tempie maleje. I tak obliczył on, że w Anglji w ostatnich 3 latach urodziło się 40 procent chłopców, a 60 procent dziewcząt, natomiast w tym samym okresie śmiertelność mężczyzn wynosiła 70 procent, a kobiet 30 procent. We Francji na 100 noworodków tylko 42 jest chłopców, a na 100 zmarłych — 76 mężczyzn. W Niemczech te cyfry są również zastraszające, jak i w wielu innych państwach Europy. Niemiecki uczony oblicza, że jeśli takim tempem ginąć będzie ród męski, to w ciągu 25 lat wypadnie 1 mężczyzna na 4 kobiety. O ileby się sprawdziły przewidywania owego Niemca, dopieroby mężczyźni zyskali wówczas na cenie.

Które zwierzę biega najszybciej?

Kwestja, jak szybko biegają zwierzęta, zajmowała od dawna uczonych. Pewien przyrodnik angielski ogłosił rezultaty tych badań, według których struś jest najszybszem zwierzęciem na świecie. Przebiega on bowiem w jednej sekundzie 42 metry, podczas gdy koń wyścigowy w tym samym czasie zdoła zrobić tylko 13 do 14 metrów. Wielbłąd w jednej sekundzie przebywa tylko 2 lub 3 metry, ale góruje nad innemi zwierzętami swoją wytrwałością, gdyż potrafi iść jednostajnem tempem 2 do 3 dni. Psy do polowania biegają 14 do 24 metrów na sekundę, zaś woły chodzą tylko 50 do 60 cm. Natomiast malutki kret w jednej sekundzie pod ziemią przebiega 2 metry, zaś na powierzchni ziemi nawet 3 metry. Zając potrafi przebiec 6 do 18 m. w jednej sekundzie, zaś sarna 22 metry. Najwolniej kroczy żółw, który za sekundę zdoła się posunąć tylko o 1 dziesiątą swej długości.

Rozmażanie się zwierząt.

Są ludzie, którzy boleją nad tem, jeżeli się zabija zwierzęta. Powiadają oni, że co Pan Bóg stworzył, tego nie powinno się zabijać. Przypatrzmy się jednak, jakby świat wyglądał, gdybyśmy nie zabijali zwierząt, lecz pozostawili je własnemu losowi. Oto niezadługo nie byłoby miejsca na świecie dla człowieka, gdyż wyparłyby go zwierzęta. Oto niektóre obliczenia: Suka np. w przeciągu pięciu lat może mieć 1000 potomków. W miejscowości, w której jest 100 psów, po dziesięciu latach żyłoby miljon psów. 100 krów w przeciągu 10 lat dałoby stado składające się z 2.000 sztuk, a te w następnych dziesięciu latach doszłyby do liczby 40.000 sztuk. Jedna samica królika po pięciu latach może mieć ćwierć miljona dzieci, wnuków, prawnuków, praprawnuków itd. Podobnie mnożą się i inne zwierzęta, a cóż dopiero mówić o owadach, z których np. pszczoła znosi dziennie przeciętnie 2.000 jajek. Można sobie wyobrazić, coby się działo na świecie, gdyby zwierzęta same się nie pożerały i gdyby im człowiek w najrozmaitszy sposób śmierci nie ułatwiał.

Żywy po śmierci.

W klinice w Rzymie dokonano przed kilku dniami niezwykłego doświadczenia. Od kilku miesięcy wśród chorych na oddziale gruźliczym był tam niejaki Augusto Gasperini, liczący 39 lat. Choroba czyniła u niego szybkie postępy i przed kilku dniami zmarł o godzinie 5 po południu. Śmierć jego została oficjalnie stwierdzona i zaprotokółowana. W pół godziny potem słynny lekarz Innocenzo Nivoli, przystąpił do eksperymentu. Wstrzyknął zmarłemu trzykrotnie adrenaliny, a kiedy nieboszczyk zaczął z powrotem oddychać, przystąpiono do wstrzykiwań strofantiny. Gasperini siadł na łóżku i zaczął pić. Podano mu napój, a potem na żądanie lekki posiłek. Wskrzeszony był zupełnie przytomny, ale tylko obecni lekarze wiedzieli, że jest to życie sztuczne i że za chwilę Gasperini znów musi umrzeć. Skorzystano z jego przytomności i przyzwany kapłan udzielił mu ostatnich sakramentów. Gasperini żył w ten sposób przez trzy godziny, poczem umarł powtórnie.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Franciszek Chmiel** w P.: Chętnie zastosowalibyśmy się do życzenia Pana, ale wymienionej powieści zupełnie nie znamy, nie wiemy też, gdzieby ją nabyć można. Gdyby Pan mógł dostać jeden egzemplarz, prosimy o przesłanie nam. Za pochwałę moich wierszyków serdecznie jestem wdzięczny, a tembardziej cieszy mnie to, że znalazły uznanie i te wiersze, które wydrukowałem w „Roli" pod przybranem nazwiskiem. — **Zygmunt Osuchowski** w O.: Chętnie poprzemy sprawę Pańską w Administracji owego dziennika, wątpimy jednak, czy uda się nam co uzyskać, gdyż tam za wszystko każą sobie płacić. — „Los nieszczęśliwego" to nie nowelka, ale opis zdarzenia, któremu podobnych tysiące w życiu. — **Kazimierz Noworyta** w Z.: Autor ów, o którym Pan wspomina, popełnił wobec nas wielki nietakt, a potem zamiast uznać swój błąd napisał do nas list niby to humorystyczny, ale w rzeczywistości arogancki. Ponadto autor ów ma zwyczaj posyłania swych utworów równocześnie do kilku pism, więc trudno szanującemu się pismu, drukować utwór, który może równocześnie ukazać się w innem piśmie. — **Szczepan Orzech** w P.: Wierszyki zupełnie dobre, chętnie je w najbliższym czasie umieścimy. Gorzej z ową humoreską. Jest ona wprawdzie pogodna i miła, ale zamało w niej humoru. Schowaliśmy ją jednak na cięższe czasy. — **Michał Koprowski** w H.: Najlepsze są szarady jednowyrazowe. Szarady z kilku wyrazów, o lie są łatwe do ułożenia, o tyle trudniejsze do rozwiązania. — **Jan Magiera** w B.: Krzyżówka dobra, zabierają one jednak dużo miejsca, więc zamieszczamy je niechętnie. — **„Miłość".** Wierszyki dobre; będziemy starali się umieścić je jak najprędzej. — **Józef Kulka** w B.: Niech Pan przeczyta uważnie swoje wiersze, a sam Pan znajdzie w nich usterki, dla których drukować ich nie możemy. Dajemy przykład z wiersza „Bieda w chacie": „W Wilczkowicach koło drogi, stoji domek dość ubogi. W nim mieszkali: baba, chłop, ze strzechy ci leciał snop", albo dalej: „Pracowali, co sił starczy, lecz staremu w gardle harczy, ośmdziesiąt przeszło miał, więc też opadł z sił i ciał", lub wreszcie: „Skąd wziąć grosza pyta znowu, kiej chłop nie chadza do łowu, ni na zarobek ku dworze, jak więc człowiek wyżej może" i t. d. Wiersz więc taki trzebaby zupełnie przerabiać, a na to nie mamy czasu. A jednak potrafi Pan pisać ładne wierszyki — pamiętamy je z przed wojny. Były one jednak krótkie i dobrze opracowane. Uwagami naszymi prosimy się nie zrażać, ale opracowywać wszystko, co ma być drukowane z całą skrupulatnością. — **Leon Świder** w K.: Zamieszczamy z całą przyjemnością. Cieszylibyśmy się gdyby odniosła skutek. — **Jan Kamysz** w N.: List Pański przeczytaliśmy z prawdziwem wzruszeniem; staramy się, ile możemy, aby tę wzajemną nieufność i zawiść wyplenić i mamy nadzieję, że praca nasza nie pójdzie na marne. Za życzenia serdeczne dzięki. — **Jan Kolbusz** w K.: Maciuś, przeczytawszy list Pański, spłakał się z radości. Na tyle uznania, doprawdy, nie zasłużył sobie, gdyż są ludzie, często sami faryzeusze, którzy rzucają na niego kamieniem potępienia. A Maciuś nasz, to dobry chłopak tak, że radzilibyśmy każdemu z czytelników do serca go przytulić. (Czytelniczkom też.) Był on podczas wojny w niejednej opresji i wkrótce swe przejścia wojenne zacznie opowiadać, ale pod Kijowem nie zginął, choć z całą radością, ale i pewnością śmierci szedł tam za swym komendantem. Ofiary Pańskie za niego nie poszły na marne, gdyż zjednały mu jeszcze większą popularność u Czytelników, niż przed wojną. Za obiecankę na „Gwiazdkę" Maciuś serdecznie dziękuje — kupi sobie nowe portczęta. My ze swej strony za uznanie również dziękujemy. — **Stanisław Kamyk** w N.: Nadesłane nam wierszyki zamieścimy z całą przyjemnością. — **Antoni Riemer** w G.: „Zimowym wieczorem" umieścimy. — **Marja Stuchlińska** w P.: Skorzystamy. — **Franciszek Skaza** w P.: Sprawozdanie w numerze, artykuliku jednak zamieścić nie możemy, gdyż jest on polemiką polityczną, a tej w „Roli" nie uwzględniamy. Pana Ł. również nie trzeba bronić, gdyż jego owocna praca sama za siebie przemawia. Zresztą na złośliwość ludzką nikt jeszcze nie wynalazł lekarstwa, a nie uleczy jej żadna notatka dziennikarska. — **Władysław Bienias** w J.: Z nadesłanych prac skorzystamy.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 11 stycznia b. r.

Pszenica .	53·00—54·40	Słoma długa	5·00— 6·00
Żyto . .	41·00—42·00	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies . .	31·00—31·50	Koniczyna na-	
Jęczmień .	34·00—35·00	sienn. czer.	420·00—450·00
Groch zwyk.	52·00 55·00	Mąka pszen.	91·00—92·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Jan Dudek z Leszczyn 2 zł, Franc Gruca z Krakowa 1 zł. na magierkę dla Maćka, Jan Kanty Barnaś z Ochoinicy dol. 1 zł

Zagadki do nagrody.

1. Arytmogryf.

(ułożył Józef Wróbel z T.)

5	1	4	7	Zmysł.
9	**2**	11	10	Gazeta.
3	6	**2**	3	Duża ilość.
12	2	9	**13**	Zabójstwo.
12	2	**9**	3	Zwierzę podbiegunowe.
14	**2**	15	10	Część ciała.
5	10	3	14	Kłótnia.
11	**5**	2	5	Miasto w Polsce.
16	8	**17**	18	Zwierzę drapieżne.
3	6	10	**11**	Hartowane żelazo.
19	2	**3**	6	Umartwienie.
13	**2**	16	10	Panujący w Wenecji
14	20	6	10	Znak w śpiewie.

Litery umieszczone zamiast liczb grubo wydrukowanych, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko sławnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

2. Szarady.

I.

(ułożył Jan Piwowoński.)

Pierwsza w każdem znaczeniu rozwesela [ludzi,
Przy niej, jak z Maćkiem Bzdurą, nikt [się z nas nie nudzi.
Pierwsza z trzecią, to rzeczy są niewiele [warte,
Kto ci zaś mówi trzecią, ten się trzecie [czwarte.
Czwarta, jest to litera, znajdziesz w alfa- [becie,
Jej druga, drugą zwykle uczy swoje dziecię.
Czwarta, drugą to rzeka w dalekiej krainie,
Kogo wezmą czwarte, trzecie ten napewno [zginie.
Nad całością to uczeń bardzo często siedzi,
Jak nad trudną szaradą poci się i biedzi.

II.

(ułożył Jan Patulski z S.)

Pierwsza i druga u zacnych ludzi
Do czynów wzniosłych zagrzewa,
Zaś druga z trzecią obawę budzi
Gdy jej zły człowiek używa.
Całość to przedmiot, potrzebny w świecie,
U tych, co palą, zwykle znajdziecie.

3 Wiatrak.

(ułożył Jan Patulski z S.)

Z podanych poniżej liter ułożyć dwa wyrazy w ten sposób, aby po ułożeniu jednego poziomo, drugiego pionowo powstał krzyż w kształcie skrzydeł wiatraka: k, k, o, o, ę, ę, r, t, t.

Termin nadsyłania rozwiązań do 23 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 1 „Roli":

1. Arytmograf: Chicago;
2. Szarady: 1)Ubolewanie, 2) Kopernik, 3) Kawaler;
3. Przestawianka: Maciek Bzdura gada.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Aleksander Gwóźdź z L., Wojciech Ciepiela z B., Kasper Święcicki z D., Franciszek Kowalcze z Ł., Marja Radlmesser z S., J. Gąsior z S., Władysław Ptasiński z B., Jan Stańda z B., Jan Crader z S. W., Rudolf Kulla z M. K., Wawrzyniec Rzepka z O., Gabrjel Wirstnik z Sz., Stanisław Jachowicz z G., Jan Piwowoński z C., Andrzej Grzegorzek z U., Florjan Ciebiera z Rz., Wiktorja Mikówna z Z., Franciszek Rusek z I., Józef Kaczer z W. G., Franciszek Wojnar z P., Jan Wyrobek z J., Józef Sakowski z K., Koło młodzieży w Łętowni.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Piwowoński i Franciszek Kowalcze.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Życzenie chorego.

— Doktorze! chciałbym przynajmniej żyć dotąd, dopóki długów moich nie pospłacam.

— Ba! Mój panie, chciałbyś pan być nieśmiertelnym.

Konkurent.

Ojciec: A więc pan starasz się o moją najmłodszą córkę? Czy masz pan majątek?

Konkurent: Nie, panie dobrodzieju, żenię się z miłości!

Uprzejmi.

Gdybym się grzecznością nie hamował, musiałbym pana nazwać kłamcą.

— Ja zaś jestem za dobrze wychowany, aby panu powiedzieć, żeś idjota.

Brak zdolności.

— Podobno kobiety są bardzo zdolne do rachunków.

— Wątpię, moja żona rodziła się w 1875 roku, a wciąż powtarza, że ma 25 lat.

Mądry Izydorek.

— Co chcesz, Izydorku, dostać na urodziny.

— Niech mi tatele kupi stajnię wyścigową, to będę miał co sprzedać przez licytację.

Świetna rada...

— Cóż ja sobie też poradzę, — moja kochana sąsiadko — mąż mi się codziennie upija, w domu nie siedzi tylko w szynku.

— Ot, jest przecie rada.,.

— No jaka?

— Załóżcie sobie szynk, to będzie wtedy siedział w domu!...